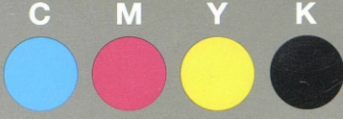
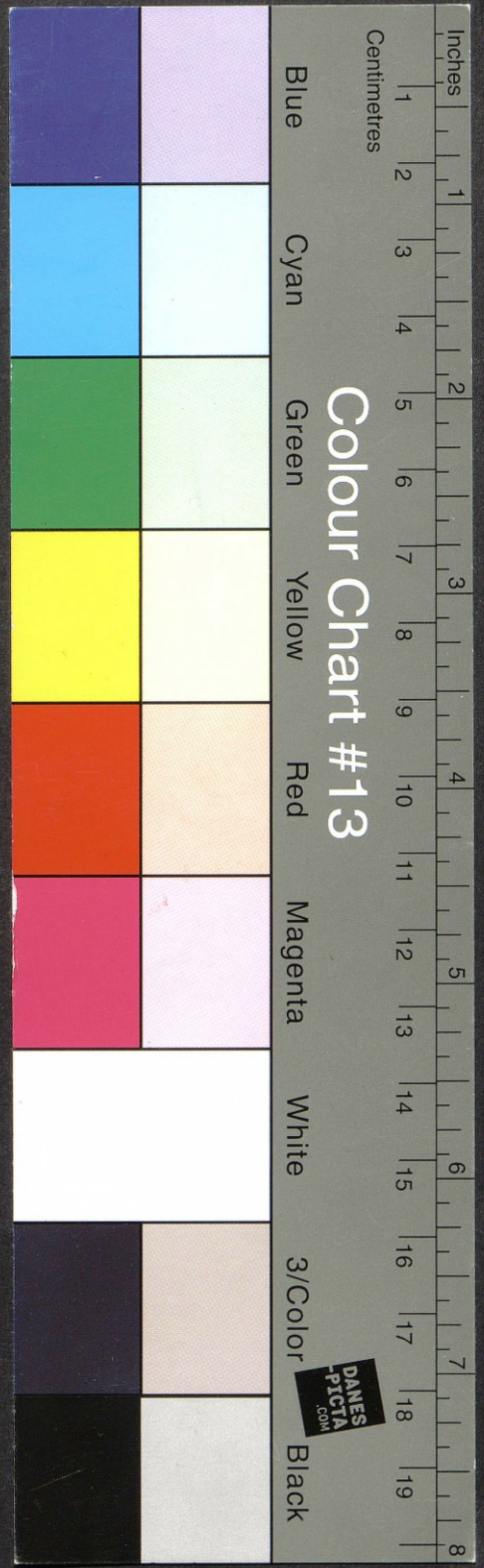
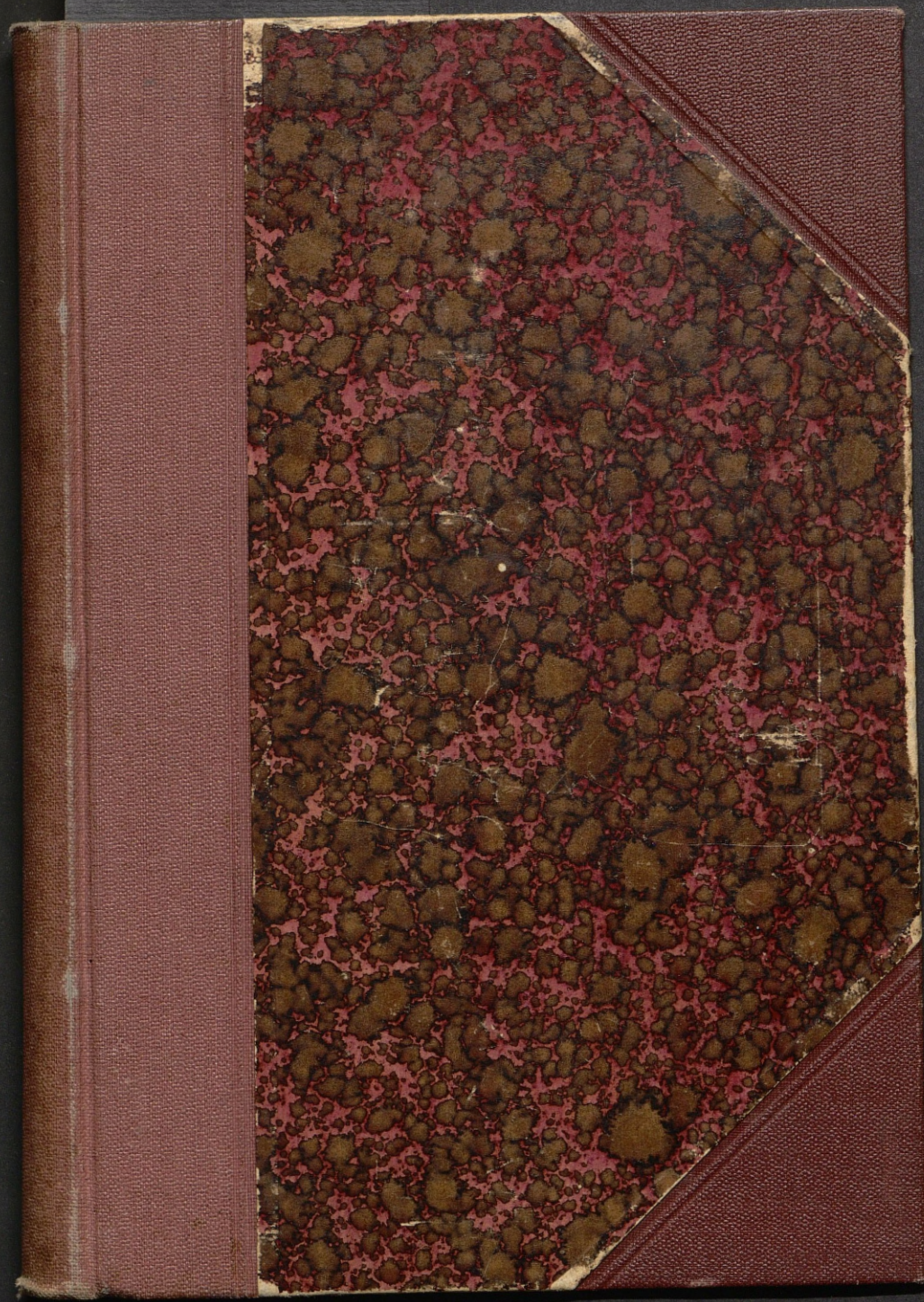


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

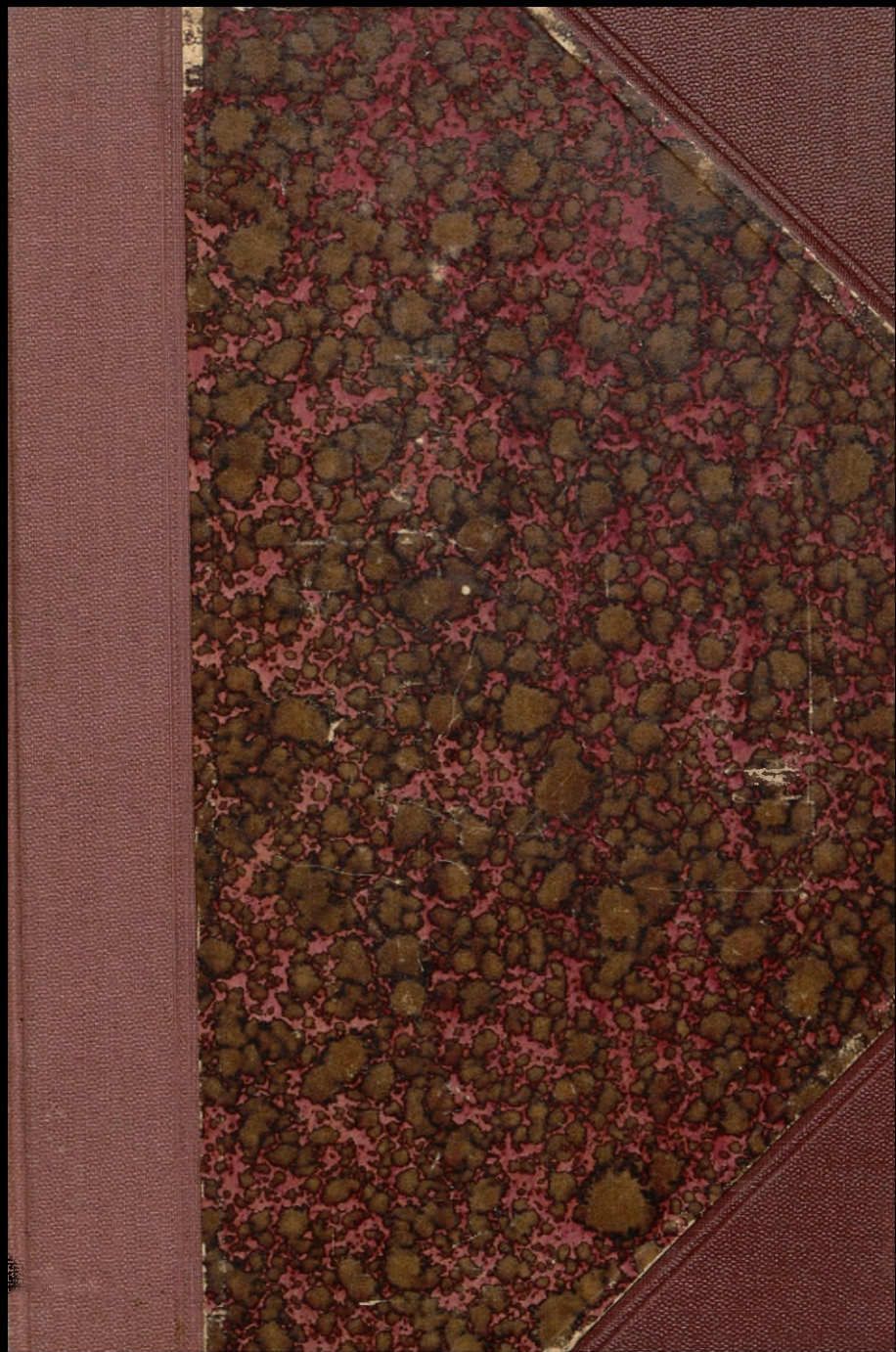


Inches
Centimetres

Colour Chart #13

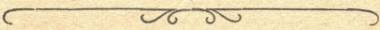
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black





GALĄZKA DZIKIEJ OLIWY.

John Ruskin.



GAŁĄZKA DZIKIEJ OLIWY.

Cztery odczyty:

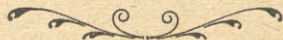
o pracy, handlu, wojnie i przyszłości Anglii,

przełożył

Wojciech Szukiewicz

Z PRZEDMOWĄ

Juliana Ochorowicza.



WARSZAWA.

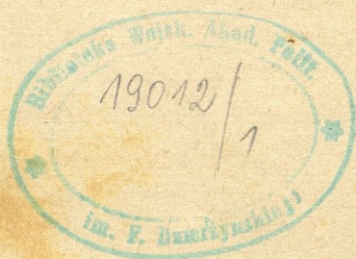
DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

320

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Февраля 1900 года.



PRZEDMOWA.

Żyjemy w ciekawej epoce.

Wiek XIX, wiek pary i elektryczności, który teoretyczny kult Rozumu ludzkiego, przekazany mu przez wiek XVIII, zdawał się stwierdzać praktycznie niebывałymi zdobyczami filozofii, nauki przyrody, odkryć historycznych i wynalazków przemysłowych — kończy się lekceważeniem wiedzy, reakcją przeciw kulturze, opozycją przeciw wielkiemu przemysłowi, powrotem do haseł romantyzmu a nawet mistycyzmu, do natury, do symbolów, do nastrojów.

I oto na jednym krańcu Europy powstaje Ruskin, na drugim Tołstoj, a we Francyi Brunetièrè, zyskuje wielką popularność, paradoksalną rozprawą „O bankructwie wiedzy“ i swoim „Odrodzeniem Idealizmu.“

Czem się to dzieje?

Jest to jeden z tych odwiecznych objawów wahania się fali psychicznej, przyplwy i odpływu idei,

bez których nie byłoby postępu. Suggestya, rzucona przez kilka wielkich umysłów, które same są wykwi-tem szerszych aspiracyj bezwiednych, przyjmuje się, krzewi, wzmaga, dochodzi po szczytu potęgi, zagarnia co tylko może pod swoje hasła, wreszcie zużywa się w tem rozlaniu, wyczerpuje i — zaczyna nużyć.

A wtedy powstaje inna.

Ta inna jest zawsze w części dalszym ciągiem poprzedniej, ale przedewszystkiem jej opozycją. Wspólności ludzie nie czują—różnice zaś odczuwają silnie, buntują ją, apostołują, i taż sama historia powtarza się po raz drugi.

Taż sama i nie taż sama; bo jak wspomniałem, tylko mechanizm przyływu i odpływu idei jest zawsze tym samym, ale idee zmieniają się.

Fala Romantyzmu wyrosła na tle poezyi i emancypacyj narodowych.

Fala Pozytywizmu, na tle filozofii i nauk ścisłych.

Fala Modernizmu (używam tego wyrazu w braku lepszego) w dziedzinie sztuki i etyki.

Ale każda z nich rozszerzała się i na inne działy, nawet bardzo odległe. Wszak mieliśmy nawet politykę romantyczną i poezję pozytywną—a dzisiaj, wybijający się i jeszcze nie skryształizowany modernizm, obejmuje nie tylko różne dziedziny sztuki, ale i socjologii, pedagogiki i filozofii.

Zkąd powstał?

Powstał ze znużenia umysłów dyscypliną pozytywną, która przydużyła chwilowo to, co wybujało w romantyzmie.

To też epoka obecna ma w sobie pierwiastki obu poprzednich, chociaż jednej i drugiej się przeciwstawia, silniej oczywiście najbliższej epoce, pozytywnej.

Byli wprawdzie tacy, dla których pozytywizm nie był doktryną, lecz tylko metodą naukową, dla których postęp nie znosił tradycji, badanie ścisłe — ideałów, którzy wiedzy i wierze przeznaczali odrębne dziedziny, ograniczeń pozytywizmu nie uważali za nieodwołalne, dla których „nie tylko wiedza była potęgą, ale i charakter“—i którzy też dzisiaj niepotrzebują bić się w piersi i przerzucać od Ludwika Büchnera do Ferdynanda Brunatière'a, ponieważ nie obiecywali tego co obiecywał materyalizm niemiecki, a tembardziej nie przenosili go ze sfery zoologii w dziedzinę etyki.

Ale dla wielkich fal epokowych tego rodzaju subtelnosci są niedostępne. Ludzkość tworzy nowe epoki nie tyle pod natchnieniem nowych rozumowań, ile za pobudką nowych nastrojów uczuciowych: niezadowolenia z tego co było i pragnienia czegoś lepszego.

Ażeby jakaś idea zyskała wpływ na umysły,

musi być podszyta uczuciem, a uczucie, nie ulegając teoretycznemu wnioskowaniu, nie kończy się tam, gdzie się kończy logika, lecz idzie dalej.

To też i doktryna pozytywistyczna przybrała szersze rozmiary i wyraziła głębsze pretensje, niż te do jakich była uprawniona.

W epoce pozytywnej nie poprzestano na zburzeniu mniemanych zdobyczy romantycznej metafizyki, ale starano się zmrozić i całą uczuciową sferę duszy ludzkiej, a berło władzy duchownej, odebrane metafizyce, przeniesiono w ręce wiedzy ścisłej, głosząc wogóle potęgę „oświaty“ i „nauczania“, z zaniedbaniem wychowania serca i woli.

Widziano postęp tylko w najbardziej powierzchownych objawach postępu, nie sięgających do moralnej głębi duszy ludzkiej, tylko w wiedzy i przemyśle, tylko w ekonomicznym przyspieszeniu tempa życiowego, a hasło „walki o byt“ będące prawem przyrody, rozszerzono tak dalece, że stało się niemal zasadą moralną, jak gdyby jakakolwiek zasada moralna, formułująca nie to, co jest, lecz to co być powinno, mogła być odbiciem praw natury!

W powyższym oświeteniu, reakcja przebijająca w pismach Tolstoja i Ruskina, pomimo związanych z nią dziwactw i neo-romantycznych fantazji, pomimo, że za obozem tych i kilku innych nieco głębszych myślicieli, ciągnie cała falanga narwańców, dużo pro-

testujących, ale mało wiedzących czego chcą; pomimo to mówię, reakcyja ta powinna być uważana za pożądaną.

Ruskin i Tołstoj chcą się wyrzec kultury i tych wszystkich zdobyczy cywilizacji, które zdaniem ich przynoszą tylko pożytek jednostronny, a jednocześnie zabijają zdrowie fizyczne i moralne, przygluszają poczucie piękna i wszelkich ideałów etycznych, czyniąc człowieka tylko bezdusznym kółkiem w wielkim mechanizmie przemysłowym.

Czyż nie ma w tem dużo prawdy? Czyż nie jest na miejscu dzisiaj apoteoza i protest cichej a zdrowej wsi przeciw gwałtownym a dusznym miastom, pracy indywidualnej przeciw pracy maszynowej, etyki przeciw martwej oświacie, prostoty przeciw zbytkowi, rozwoju charakterów przeciw materializmowi, sztuki przeciw sztuczce, wymiany bezpośredniej przeciw nadmiarowi pośrednictwa, wiary przeciw apatii, barwnych ideałów przeciw szarej rzeczywistości, pracy spokojnej przeciw gorączkowemu postępowi, bogactw prawdziwych przeciw jednostronnemu ich symbolowi — złotu?

„Ekonomiści, mówi Ruskin, mają pewne niejasne poczucie tego, że istnieje inne bogactwo niż metal znaleziony w Australii, skoro mówią o różnych „rzeczach użytecznych“ i skoro głoszą, że „czas to pieniądz.“ Ale wszakże zdolność, to także pieniądz;

zdrowie, to także pieniądź; wiedza, to także pieniądź. Wszystkie wasze zdolności, całe wasze zdrowie i wszystką waszą wiedzę, możecie zamienić na złoto, ale odwrotnie nie zamienicie złota na rozum i zdrowie“.

Ruskin idee szlachetności rycerskiej wprowadza do przemysłu i handlu, tworząc wzór kupca, któryby odpowiadał dawnym wzorom rycerza, w zastosowaniu do zmienionych warunków bytu.

Każdy, kto chce być prawdziwym człowiekiem, powinien, gdy potrzeba umieć się poświęcić dla drugich, a nawet umrzeć.

„Żołnierz powinien umrzeć raczej, niż opuścić wśród walki stanowisko.

„Lekarz — niż opuścić stanowisko, gdy panuje epidemia.

„Kapłan — niż głosić doktrynę fałszywą.

„Sędzia — niż wydać wyrok niesprawiedliwy.

„A kupiec? Kiedyż on ma raczej umrzeć, niż odstąpić od zasad uczciwości? To jest kwestya główna dla kupca, tak dobrze jak dla każdego z nas, gdyż, w rzeczywistości, człowiek, który nie wie w jakich okolicznościach powinien umrzeć, nie wie też, w jaki sposób ma żyć.”

Ruskin wprowadza kult piękna do wszystkich dziedzin życia — a etykę do ekonomii politycznej. Takim jest najkrótsze określenie jego stanowiska, jego wiary z młodzieńczym zapalem krzewionej.

I rzecz dziwna! Ten antiutylitarny (w znaczeniu materyalnym) marzyciel, ten przeciwnik fabryk i kolei żelaznych, ten wielbiciel idei dla idei i sztuki dla sztuki, nie tylko wyszedł z Anglii, kraju najbardziej dumnego swym przemysłem i najbardziej, choć rozumnie egoistycznego, ale w Anglii też zdobył największą i nadzwyczajną popularność. Dzieła jego rozeszły się w setkach tysięcy egzemplarzy, potworzyły się Towarzystwa do odczytywania jego pism, instytucje i warsztaty ręczne, pod jego natchnieniem powstałe, utrzymują się pomimo jego śmierci, a kierunek estetyczny narzucony przemysłowi przez Ruskina odbił się nawet w wielkich przedsiębiorstwach państwowych. Fryderyk Harrison nazwał go „najświetniejszym ze współczesnych geniuszów Anglii“ — a damy z arystokracji angielskiej potwierdziły ten wyrok, strojąc się w grube sukna i płótna, przyrządzone w warsztatach ruskinowskich.

Życie takiego człowieka nie może być bez interesu.

Urodzony w r. 1819 John Ruskin był synem bogatego kupca, handlującego winem w Londynie, a jednocześnie amatora-malarza i entuzyasty w dziedzinach sztuki i literatury. Ale był to entuzyasta i artysta anglik, to znaczy taki człowiek, który patrząc idealnie na przyrodę, umiał patrzeć realnie na potrzeby życia i gdy go te potrzeby nacisnęły, umiał odlo-

żyć na bok poetów i paletę, i zasiąść kamieniem nad księgami buchalteryjnymi.

Jeszcze kawalerem będąc, znalazł się w położeniu bardzo trudnym, bo majątek ojca przeciążony był długami. a miał wówczas zamiar żenić się ze swą cioteczną siostrą o cztery lata starszą od siebie, również entuzyastką artystyczną, ale także angiolką.

Uradzono, że pobiorą się dopiero, gdy długi będą spłacone. Przy ciężkiej pracy trwało to lat dziewięć, ale ostatecznie dokonał swego i pobrali się.

Dzięki tej żelaznej wytrwałości, rodzice Johna Ruskina nie tylko oczyścili honor rodzinny, ale jedynemu swemu synowi pozostawili milionowy majątek.

Rwanie się dziecinnej duszy chłopca, podwójnie nasyconej dziedzicznym zapałem do form pięknych, nie od razu mogło być zaspokojonem. Życie miejskie w ponurym Londynie nie dawało mu tych satysfakcyj, których pożądał, i dopiero, gdy rodzice nabyli grunt i domek za miastem w pięknej okolicy, mógł rozkoszować się stale urokami natury. Wówczas dniami całymi wpatrywał się w listki i kwiaty roślin, które hodowała matka. Ta ostatnia, wyrzekła się wszelkich przyjemności światowych, a ponieważ i w domu żyli skromnie, nie wydawali nigdy więcej, niż połowę dochodów.

W domu też panowała miłość i spokój. „Nigdy,

mówi syn, nie słyszałem, żeby rodzice podnieśli głos w dyskusyi, nigdy nie słyszałem gniewliwego gderania na służbę.“ Codziennie, po skończonych zajęciach handlowych, ojciec prowadził syna w pole; oglądano ruiny starych zamków, rysowano i czytano wiersze.

Gdy wyjeżdżał na dalszą wycieczkę, do Szkocyi, albo do Francyi, a później do Szwajcaryi i Włoch, młody John przywoził zawsze z podróży szereg notatek, nad którymi później rozmyślał. Uderzony pięknnością natury w górach Szkockich, napisał wierszem porównanie tych piękności z tem co zdziałała ręka ludzka w piramidach starożytnego Egiptu.

.....Wszystko, co stworzyć może sztuka,
Niczem jest wobec ciebie. Ręka ludzka
Wzniosta góry pigmejów — a groby olbrzymów.
Natura zbudowała wyniosłe gór szczyty,
Lecz nie tworzyła nigdy grobów.

Miał wtedy lat dziesięć, gdy te wiersze napisał.

Jednocześnie zbierał minerały, ale nie bezmyślnie, tylko wystudjowawszy każdy drobiazgowo. A czasu miał dosyć po temu, bo wychowanie ograniczało się właściwie tylko do dobrych przykładów—zresztą zostawiano mu zupełną swobodę. Czułości powierzchownej w rodzinie nie było, to też w sześćdziesiąt lat potem pisał Ruskin, że „kochał rodziców tak jak słońce, albo księżyc—nie więcej.“

Podróże też odbywali po angielsku, to znaczy trzymając się zdala od reszty ludzkości. Nie przyszło im nawet do głowy, żeby się nauczyć języka, w którym dokoła nich toczyły się rozmowy. Jeździli po wrażenia od natury i sztuki; po za tem wszystko im było jedno, co się w kolo nich działo.

Natomiast formy piękne, nawet w ludziach, zastanawiały młodego Johna; Notował piękne gesta i piękne dźwięki głosu, o ich znaczenie nie pytając. Był tylko artystą a przede wszystkim malarzem: wchłaniał w siebie piękne formy i to mu wystarczało.

Widok Alp zdecydował o jego powołaniu, od tej chwili *piękność naturalna*, stała się dla niego symbolem wszystkiego, co tylko w życiu może mieć jakąkolwiek wagę. Ale piękność naturalna w przyrodzie zawsze silniejsze czyniła nań wrażenie, niż w ludziach. Zakochał się wprawdzie w pięknej Francuzce i ku wielkiemu utrapieniu rodziców, kochał się w niej przez całe cztery lata, ale gdy raz udało mu się wyrysować jakieś drzewo przydrożne, ze szczególną wiernością, tak się zapalił przy tej robocie, że o kochance na zawsze zapomniał.

Za namową rodziców, w r. 1848, ożenił się z bardzo piękną rodaczką, ale w sześć lat potem żona porzuciła go, a on wrócił z tym samym zapalem do studyowania barw i linii w otaczającej go przyrodzie.

Nie było dlań wątpliwem, że sztuka (właściwie stosuje się to jedynie do malarstwa) może być tylko naśladowaniem natury, naśladowaniem, zawsze niższym od wzoru. Nie będzie nigdy rysował dobrze, kto nie ma ochoty do rysowania byle czego. *Wybierać* przedmioty z natury jest głupstwem; *idealizować* je—świętokradztwem. Gdy pewna dama żądała, by jej przesłał jakie piękne wzory do kopiowania, Ruskin posłał jej na wzór: wielki odłam skały.

W połowie swej publicystycznej kariery, spostrzegł, że jednak nie można zadowolnić całkowicie ideału piękna, odwracając się od życia, i podnieść estetyczną stronę duszy ludzkiej, nie reformując życia.

Zwrócił się więc z zapałem do zadań społecznych i kult piękna spotęgował kultem dobra.

Jako prawy Anglik nie poprzestał też na biernym odczuwaniu piękna i dobra, lecz myśli swoje całą siłą zaczął krzewić i wprowadzać w życie. Dawał lekcye rysunków, zakładał muzea, miewał wykłady i przeznaczal znaczne sumy na nowe szkoły, stowarzyszenia i inne instytucje kultem piękna natchnione. „Zwalczał brzydotę“ wszelkimi możliwymi sposobami. Brzydotę maszyn tkackich zastępuje pięknoscia kołowrotka, który dzięki niemu wchodzi w modę. Robota ręczna, tak się ma według niego do roboty maszynowej, jak wiersz pięknie wypowiedziany,

do tegoż wiersza powtórzonego przez papugę. Zgadzają się na pożyczanie siły od rzek i wiatrów, ale nigdy od wstrętnej pary. Co do elektryczności, to zostawia jej cień nadziei, że jeśli się nauczy pracować przyzwoicie bez swędu i dymu, będzie mogła uzyskać prawo obywatelstwa w przyszłości.

W wiosce, którą zamieszkał zakłada drukarnię wyłącznie dla swoich pism i księgarnię, wyłącznie dla swoich książek. Chciał bowiem, żeby nie higieniczną pracę zecerów w mieście, przenieść w zdrowsze i w piękniejsze otoczenie. Co więcej, książki rozsyłali jego przyjaciele, nie koleją, lecz wózkami.

Śmiano się, gdy zakładał tę księgarnię na wsi „w pustyniach Kentu“, ale Ruskin pokazał, że umie urzeczywistniać marzenia, gdy na jednym wydaniu „Modern Painters“ (Nowoczesnych malarzy) zarobił kilkadziesiąt tysięcy rubli. Pieniądze te szły natychmiast na inne cele filantropijne, bo Ruskin należał do tych szczególnych ludzi, którzy czynami stwierdzają zasady.

Liczba pism Ruskina jest tak wielką, że nie podobna ich tu wszystkich wymieniać. Do ważniejszych należą:

Modern Painters, 5 t. 1843.

The seven lamp of Architecture, 1849.

The stones of Venice, 3 t. 1852.

- Giotto and his work*, 1853.
Lectures on Architecture and Painting, 1843.
Notes on the Royal Academy, 1855.
The Harbours of England, 1856.
The elements of Drawing, 1857.
The two Poths, 1859.
Unto this last, 1860.
Munera pulveris, 1862.
Sesame and Lilies, 1865.
The Ethics of the Dust, 1866.
The Crown of the wild olive, 1866.
Time and Tide by weare and Tyne, 1867.
The Queen of the Air, 1869.
Lectures on art, 1870.
Fors clavigera, 8 t. 1871.
Aratra Pentelici, 1872.
The Eagle's Nest, 1872.
Ariadne florentina, 1873.
Val d'Arno, 1874.
Mornings in Florence, 1875.
Proserpina, 1875.
Deucalion, 1875.
*Guide to the principal pictures in the Academy,
at Venice*, 1877.
St. Mark's Rest, 1877.
The Laws of Fesole, 1877.

- Arrows of the Chace*, 2 t. 1880.
The Bible of Amiens, 1880.
The Art of England, 1883.
On the old Road, 1885.
The Pleasures of England, 1890.
The Poems, 1891.

I wiele innych. Dziwaczne tytuły, często bez związku z treścią, charakteryzują też sposób pisania autora, który nie może być nazwany pisarzem ścisłym. Przeskakuje on z przedmiotu na przedmiot i właściwie pisze zawsze o wszystkim, co go zajmuje. Ale mimo to plastyka jego myśli, podniosłość uczuć i zapał nowatora jedną mu serce czytelnika.

Ruskin, zmarły w r. b. nie jest jeszcze dostatecznie znanym po za Anglią i Ameryką.

We Francyi istnieje tylko przekład pierwszej jego książki i poetyczne, ale mętne studyum o nim Sizeranne'a, przełożone świeżo na język polski.

W Niemczech wydano dotychczas tylko urywki z jego dzieł, w rodzaju tych, jakie przełożył niedawno p. Antoni Lange p. t. „Malarstwo i Poezya“.

Najlepszą pracą o Ruskinie jest angielskie dwutomowe dzieło W. G. Collingwooda „The Life and Work of John Ruskin.“ London, 1893.

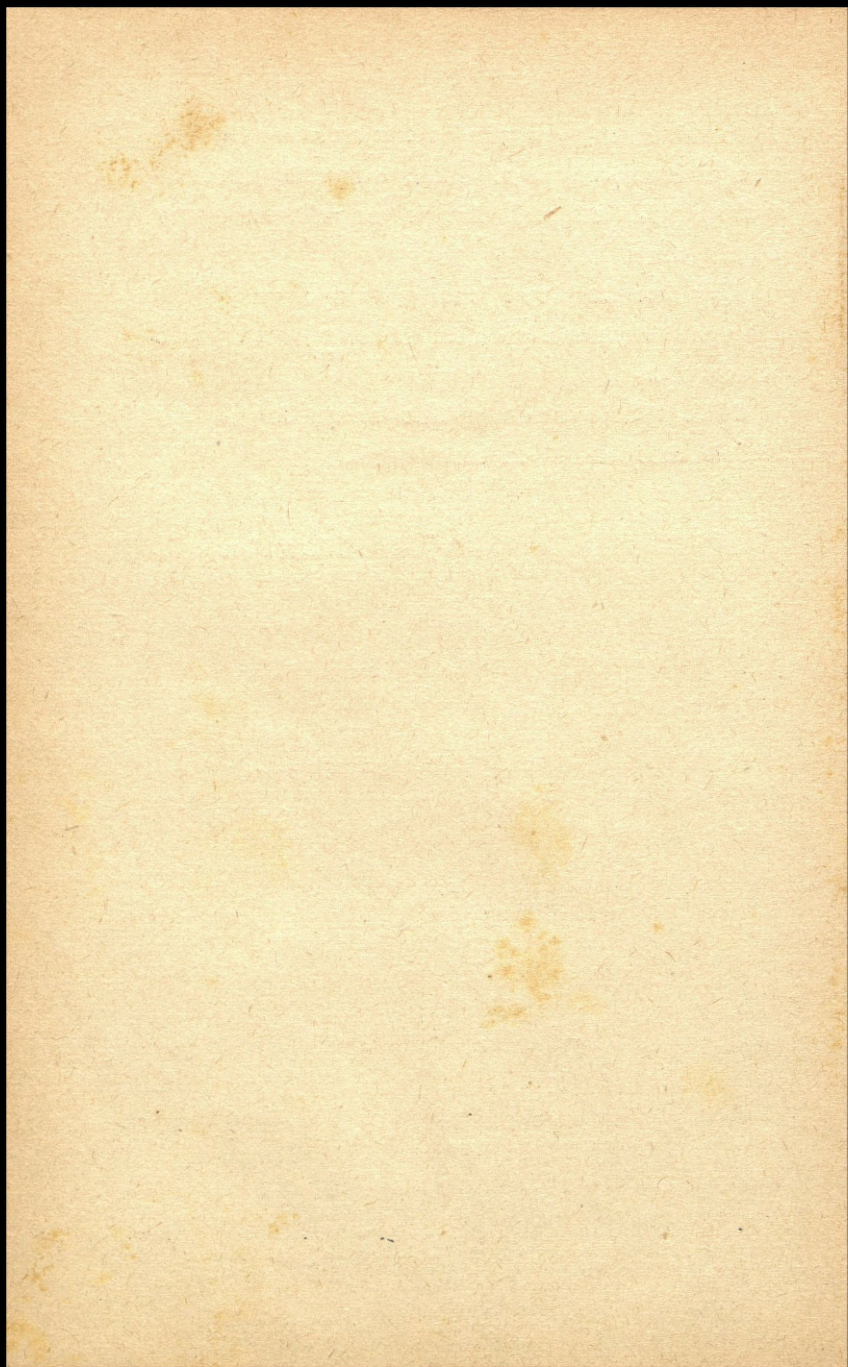
Wybraliśmy tę a nie inną jego książkę, ponieważ rozwija najmniej znane u nas poglądy, ponie-

waż charakteryzuje ów przełomany zwrot w jego karierze piśmienniczej po r. 1860, wreszcie ponieważ dotyczy Anglii, stojącej obecnie na widowni spraw politycznych.

Czy idee Ruskina i jemu podobnych mają jaką szansę powstrzymania rozpędu dzisiejszej materialnej cywilizacji?...

Niewątpliwie świat pójdzie swoją drogą. Ale może się choć cokolwiek uszlachetni...

Julian Ochrowsicz.



ODCZYT I.

Praca.

(Wygłoszony w Instytucie Robotniczym, w Camberwell).

Moi przyjaciele—nie przybyłem pomiędzy was dziś wieczorem na to, aby się sadzić na zajmujący odczyt, ale na to, aby wam powiedzieć kilka prostych faktów, i postawić kilka prostych, ale niezbędnych pytań. Widziałem i znałem zbyt wiele walki o byt wśród naszej klasy robotczej, aby móżd spokojnie, bez względu na okoliczności, zapraszać ją do zastanawiania się nad drobiazgami moich własnych studyów; przeciwnie, stając po raz pierwszy przed członkami instytutu robotniczego, założonego w okręgu, w którym spędziłem większą część mego życia, pragnę, abyśmy się na wstępie samym porozumieli na punkcie poważniejszych rzeczy. Pragnąłbym powiedzieć wam, z jakimi uczuciami i z jaką nadzieją spoglądam na ten instytut, jako na jeden z wielu podobnych, zakładanych obecnie zarówno w Anglii, jak i w innych krajach. Instytuty te gotują wielką zmianę we wszystkich stosunkach życia przemysłowego;

powodzenie ich atoli zależy całkowicie od tego, czy zdołacie jasno zrozumieć okoliczności i nieuniknione *granice* tej zmiany; żaden nauczyciel nie może posunąć naprzód wykształcenia, dopóki nie pozna warunków tego życia, do jakiego edukacja ma jego ucznia przygotować. A fakt, że zapraszają go, aby przemawiał do was, wyraźnie jako do „klasy roboczej,” musi go zniewolić, jeżeli wogóle poważnie się nad rzeczą zastanawia, do zbadania na samym wstępie, na czym, według waszego własnego zdania, oparła się w przeszłości ta różnica klas, i na czym musi się oprzeć w przyszłości. Sposób zabawienia się, lub przedmiot studyów, jakie ktokolwiek z nas może wam ofiarować, musi w całości zależeć od zrozumienia, czy sądzicie, że różnica, upatrywana pomiędzy robotnikami a innymi ludźmi, opiera się na rzetelnej, czy na błędnej podstawie. Czy ją przyjmujecie taką, jaką jest, czy życzyście sobie jej zmiany, czy też sądzicie, że edukacja powinna ją znieść i kazać zapomnieć o niej na zawsze?

Pozwólcie mi, abym się sam jaśniej wytłomaczył. I wy i ja nazywamy ten zakład „Instytutem Robotniczym”, a szkołę w Londynie „Kollegium Robotniczym”. Jak się więc wam zdaje teraz, o ile te zakłady różnią się, lub mają się różnić od instytutów i kollegiów dla „próżniaków?” albo jakim innym mianem niż „próżniaki” mam ochrzcić tych, których najszcześliwsi i najrozumniejsi z robotników nie wahają się nazywać „klasą wyższą?” Czy istnieją rzeczywiście wyższe i niższe klasy? Na ile trzeba jedne nieustannie podnosić, a inne obniżać? Panie i panowie—proszę wszystkich obecnych o wybaczenie mi

urazy, która może tkwi w słowach, jakie zamierzam wygłosić. To nie ja pragnę je wypowiedzieć. Wypowiadają je gorzkie głosy: głosy bitew i głodu, na całym świecie panującego, głosy, które muszą być kiedyś wreszcie wysłuchane, bez względu na panujące dziś milczenie. Ani też nie powiadam tych słów do was specjalnie. Jestem pewien, że większość tu obecnych zna swe obowiązki chrześcijańskie i spełnia je może lepiej odemnie. Lecz odzywam się do was, jako do przedstawicieli całej klasy, błędzącej (wiem to dobrze) głównie wskutek bezmyślności, nie mniej jednak błędzącej strasznie. Nad świadomym błędem panuje wola, ale cóż może ograniczyć błąd nieświadomy?

Tolerujcie mnie więc, gdy zwracając się do tych robotników, zapytam ich, jako reprezentant wielkiej masy: czem, według ich zdania, są lub mają być „wyższe klasy” w stosunku do nich samych? Odpowiedzcie wy, robotnicy, którzy jesteście tutaj, i to całkiem szczerze, jakbyście byli pomiędzy sobą tylko; i powiedzcie mi, jak sobie życzyacie, abym nazwał tę wyższe klasy, czy mam je nazwać—czy wybyście sami sądzili, że miałbym słuszność, nazywając je—próżniaczami klasami? Sądzę, że doznalibyście nieco niepokoju, jak gdybym nie traktował swego przedmiotu uczciwie, albo jak gdybym ze szczerego serca mówiąc, przyjął jako założenie, że wszyscy bogaci ludzie są próżniakami. Byłibyście zarówno niesprawiedliwi, jak i niemądrzy, pozwalając mi tak mówić; — nie mniej niesprawiedliwi, niż ludzie bogaci, którzy twierdzą, że wszyscy biedacy próżnują i że nie chcą pracować, jeżeli im się to tylko udaje.

Faktem bowiem jest, że zarówno istnieją biedni próżniacy, jak i bogaci próżniacy; istnieją pracujący biedni i pracujący bogaci. Niejeden żebrak tak jest leniwy, jak gdyby miał dziesięć tysięcy rocznego dochodu; a niejeden zamożny człowiek jest bardziej zajęty od swego famulusa, i nigdy nie pomyślałby o zatrzymaniu się na ulicy, aby zagrać w guziki. Także z szerokiego stanowiska biorąc, różnica między pracownikami a próżniakami, tak jak pomiędzy łajdakami a uczciwymi ludźmi, przenika serca i tajniki ludzi wszystkich klas i wszystkich stanowisk. Klasa pracująca—silna i szczęśliwa—istnieje tak wśród bogatych jak i biednych; istnieje też klasa próżnująca—słaba, występna i nędzna—zarówno wśród bogatych, jak i biednych, a najgorsze nieporozumienia, powstające między dwiema stronami, biorą początek w nieszczęśliwym fakcie, że rozumni jednej klasy, ustawicznie widzą tylko nierozsądnych drugiej klasy.

Gdyby pracowici bogacze pilnowali i karcili próżnujących bogaczy, wszystko byłoby w porządku, i gdyby pracowici biedacy pilnowali i karcili próżnujących biedaków, wszystko byłoby ładnie, ale każda klasa zdradza skłonność do wyszukiwania błędów drugiej; ciężko pracującego właściciela realności mocno dotyka widok próżnującego żebraka, a porządny, ale biedny robotnik z natury rzeczy nie może tolerować rozwiązłego zbytku bogacza. To też surowy sąd, wydawany przez sprawiedliwszych ludzi obydwóch klas, wyradza się w zacieklą nieprzyjaźń u niesprawiedliwych—ale u niesprawiedliwych jedynie. Nikt inny, jak tylko występni wśród biedaków, uważają bogatych za swych przyrodzonych wrogów

i pragną łupić ich domy lub dzielić się ich obojętnością, nikt inny, jak tylko przewrotni wśród bogaczy traktują pogardliwie wady i głupoty biedaków.

Tak więc niema różnicy klasowej pomiędzy ludźmi pracowitymi a próżniakami; a ja mam zamiar mówić dzisiaj o samych pracowitych. Próżniakom damy na razie pokój—są to tylko zawałidrogi—a jakby należało z *nimi* postąpić, o tem powiemy innym razem. Ale istnieją różnice klasowe pomiędzy samymi pracowitymi; — ogromne różnice, podnoszące się i opadające do każdego stopnia nieskończonego termometru ludzkiego cierpienia i ludzkiej mocy—różnice wysokiego i niskiego, wygranej i przegranej, w całym zakresie ludzkiej duszy i ciała.

Przestudyujemy te oddziały, oraz ich prawa, ale tylko wśród ludzi energicznych, którzy czy to pracując, czyli też bawiąc się, wkładają w pracę swą całą siłę, i całą siłę w zabawę, będąc w całym tego słowa znaczeniu „wytrwali i pracowici”, w tym, czy w owym kierunku—z celem lub bez celu. Tych różnic mamy przeważnie cztery:

- I. Pomiędzy pracującymi, a bawiącymi się.
- II. Pomiędzy wytwórcami środków do życia, a ich spożywcami.
- III. Pomiędzy pracującymi głową, a pracującymi rękami.
- IV. Pomiędzy pracującymi mądrze, a pracującymi głupio.

Dla łatwiejszego zapamiętania powiemy, że przeciwstawimy w swem rozrządzeniu:

1. Pracę zabawie;
2. Produkcję konsumpcyi;

3. Głowę, ręce;
4. Sens bezsensowi.

I.

Pierwsza zatem różnica istnieje pomiędzy klasami pracującymi a bawiącymi się. Musimy oczywiście zgodzić się naprzód na definicyę terminów — praca i zabawa—nim pójdziemy dalej. Otóż zgruba biorąc (nie dla próżnej subtelności określenia, lecz dla jasnego użycia słów), „zabawa” jest wysiłkiem ciała lub ducha, uczynionym dla własnej przyjemności, bez określonego celu; a praca to rzecz dokonana dla tego, że należało jej dokonać i to z wyraźnym celem. Bawicie się naprzykład w krokieta. To taka sama ciężka praca, jak każda inna; ale ona was bawi, a jedynym jej wynikiem jest rozrywka. Gdybyście ją wykonywali jako przepisane ćwiczenia dla waszego zdrowia, zabawa stałaby się natychmiast pracą. W podobny sposób cokolwiek czynimy dla własnej przyjemności i tylko wyłącznie dla przyjemności, nie dla jakiegoś ostatecznego celu, staje się „zabawą” i „przyjemną rzeczą,” a nie „pożyteczną rzeczą.” Zabawa może być pożyteczna w drugorzędnym znaczeniu (bo nic zaiste nie ma pożyteczniejszego lub potrzebniejszego); ale pożytek jej wypływa z całkowitej samorzutności.

Zastanowimy się więc wspólnie nad tem, na uprawie jakich gier spędza życie bawiąca się klasa w Anglii.

Pierwszą ze wszystkich angielskich gier jest robienie pieniędzy. Jest to całkowicie absorbująca gra; obalamy jeden drugiego częściej bawiąc się w tę grę,

aniżeli w foot-ball, lub w jaki inny ordynarny sport; przytem rzecz absolutnie celu nie ma; nikt, biorący żywy udział w grze, nie wie, dlaczego to czyni. Zapytajcie wielkiego zbijacza pieniędzy, co zamierza robić z niemi — a nie da wam odpowiedzi, bo nie wie. Nie zbija groszy dlatego, żeby coś z niemi zrobić. Zbiera je po to tylko, żeby je *mógł* zbierać, „co zrobisz z tem, co już masz?” spytacie go. „Ba, posiadę jeszcze więcej,” odpowie. Tak zupełnie, jak w krokiecie, zyskujecie więcej uderzeń, które nie mają żadnej wartości, ale stanowią właśnie grę. Nie ma też wartości pieniądza, ale zabawa polega na posiadaniu więcej pieniędzy od innych ludzi. Myślicie może, iż to wielkie brudne miasto Londyn — turkoczące, gwizdzące, dymiące, cuchnące — że ta ponura gronda fermentującej cegły, wyziewająca każdą szczeliną truciznę — myślicie, że to miasto pracy? Ani na jednej ze swych ulic! To wielkie miasto zabawy, bardzo brudnej zabawy, i ciężkiej zabawy, ale mimo to zabawy. To tylko pole krokietowe bez turfu — wielki bilard bez sukna, z kieszeniami tak głębokimi, jak bezdenna przepaść; ale zawsze głównie bilard, nic więcej.

Zatem pierwszą wielką grą angielską jest zabawa w marki karciane. Od innych różni się tem, że zdaje się jakby nieustannie produkowała pieniądze, gdy każda inna zabawa pochłania je. Ale istnieje wielka różnica pomiędzy „wygrywaniem” pieniędzy a „robieniem” ich; wielka różnica pomiędzy wyciąganiem ich z kieszeni bliźniego i przekładaniem do swojej a napełnianiem obydwóch. Zbieranie pieniędzy nie jest bynajmniej tem samem, co ich robienie; rogatki

nie są mennicą, a wiele pozornego zysku (tak zwanego) nie jest niczem, jak jedynie formą opodatkowania wymiany.

Następna wielka gra angielska, polowanie i strzelanie, jest również ogromnie kosztowna; nie będę usiłował nawet obliczyć obecnie, ile ona kosztuje nas rocznie w ziemi, koniach, stróżach zwierzyny, prawach myśliwskich, słowem, we wszystkim, co jest nieodłączne od tej pięknej i specjalnie angielskiej zabawy: ale rozważcie jedno tylko, mianowicie, że pomijając ćwiczenie cielesne, jest to nietylko bezużyteczna gra, ale i śmiertelna dla wszystkich, biorących w niej udział. Bo wyścigi konne dają nam wszystkie formy tego, co wyższe klasy nazywają wszędzie „zabawą,” w odróżnieniu od innych zabaw, to jest hazard; nie jest to wcale dobroczynna i ożywcza gra; ale ochrona zwierzyny powoduje ciekawy podział ziemi, z którego wynika osobliwe urządzenie mieszkań dla ludzi i zwierząt, sprawiające, że mamy głuszce — tyle to par na jednym akrze, i że mamy ludzi — tyle to par na jednym poddaszu. Ciekawy jestem, co anielscy budowniczowie i dozorczy — anielscy budowniczowie, wznoszący tam w górze „wiele pałaców,” i anielscy dozorczy, którzy zmierzili nasze miasto swemi miarami — ciekawy jestem, co oni myślą, lub co mają myśleć o rozdziale ziemi, dokonanym przez naród, który zdaje się postanowił spełnić, literalnie, słowo w słowo, i to, w osobie biedaków, którym Mistrz zlecił reprezentować siebie, co tenże Mistrz powiedział o sobie samym — że lisy i ptaki mają domy,

2 On żadnego.

Obok dżentelmańskiej zabawy w polowanie mu-

simy umieścić damską zabawę w strojenie się. Nie jest to najtańsza z zabaw. Widziałem dwa tygodnie temu u jubilera broszkę, nawet nie cały cal szeroka, i bez kosztownego kamienia, jednakże wartości trzech tysięcy funtów (30,000 rubli. *Przyp. tlóm.*). Chciałbym być w stanie powiedzieć wam, co ta „zabawa” kosztuje w Anglii, Francji i Rosji. Ale to przynajmniej ładna zabawa, i pod pewnymi warunkami lubię ją; przeciwnie, nawet ludzie nie uprawiają jej tyle, ilebym sobie życzył. Wy, panie, lubicie przodować modzie: — przodujcie — gruntownie i sumiennie. Ubierajcie się same ładnie, i ubierajcie każdego ładnie. Twórzcie naprzód *mody dla biednych*; niech ładnie wyglądają, a wtedy i wy będziecie lepiej wyglądać pod wielu względami, których obecnie nawet nie przeczuwacie. Mody, któreście dały włościanom, nie są ładne; staniki są zanadto nieregularnie pocięte, a wiatr przewiewa przez nie zanadto swobodnie.

Obok tych są jeszcze inne zabawy, całkiem niedorzeczne, cobym wam mógł udowodnić, gdybym miał na to czas.

Nie brak też zabawy w literaturę i w sztukę— obie bardzo różniące się od pracy w literaturze, lub w sztuce, ale nie mam czasu zastanawiać się nad niemi.

Przechodzę więc do największej ze wszystkich— do gry gier, do wielkiej zabawy dżentelmanów, którą zajętych panie lubią widzieć najbardziej—do zabawy w wojnę. Jest ona zachwycająco przyjemna dla wyobraźni; ale fakty nie zawsze są równie przyjemne. Mimo to, ubieramy się dla niej wybredniej, niż dla każdego innego sportu; wychodzimy na nią

nietylko w szkarłacie, jak na polowanie, lecz w szkarłacie, złocie i różnych innych pięknych barwach; oczywiście moglibyśmy lepiej walczyć w szaraczkach, i bez piór; ale wszystkie narody zgodziły się na to, że należy się stroić do tej zabawy. Młotki i bile są bardzo kosztowne; nasze angielskie i francuskie młotki, razem z bilami i bramkami, nawet temi, z których nie mamy żadnego pożytku, kosztują, o ile mi się zdaje, około piętnastu milionów rocznie każdy naród z osobna. Kosztowna to zabawa, pomijając nawet jej skutki, o których zamilczę. Pragnę tylko zwrócić waszą uwagę na bezpośredni koszt tych wszystkich zabaw. Ta zmiana w znaczeniu wyrazu „zabawa“ jest dla filologa tak samo pięknym przykładem różnicy dyalektycznej, jak zmiany, używane w Birmingham lub Baden-Baden. Tak, szlachetni panowie i szlachetne panie angielskie, które myślicie, że „chwila niepokieszona nędzy nie stworzona dla słabego człowieka,“ patrzcie, do jakiego znaczenia doprowadziliście wyraz „zabawa“ w samym sercu wesołej Anglii! Wam wolno mieć swą muzykę, ale istnieją smutne dzieci, które nie mogą zaiste powiedzieć „grałyśmy wam, a wyście nie tańczyli;“ wiercie, będą one powtarzać: „plakałyśmy, a wyście nie pożalili się.“

Ta oto jest pierwsza różnica między „niższą a wyższą“ klasą, i to różnica zgoła nie niezbędna; to też z biegiem czasu musi być za zgodą wszystkich uczciwych ludzi zniesiona. Ludzie bowiem przyjdą do przekonania, że byt pełen rozkoszy, podtrzymywany krwią bliźnich, jest dobry dla komarów i pijawek, ale nie dla ludzi; że próżniactwo nie uświęca

życia; że najlepszą modlitwą na początku dnia jest prośba, abyśmy go nie zmarnowali, a najlepszą modlitwą przed obiadem świadomość, żeśmy sobie nań zasłużyli. A gdy pojmiemy tyle z nauki chrześcijańskiej, aby nabrać dosyć szacunku dla tego, co nazywamy natchnieniem, i ażeby nie myśleć, że słowa „Synu, idź pracować dzisiaj w mojej winnicy,“ znaczą: „Głupcze, idź zabawić się dzisiaj w mojej winnicy,“ wtedy staniemy się wszyscy pracownikami w tem, czy w innem znaczeniu; a tyle przynajmniej różnicy pomiędzy „wyższemi“ a „niższemi“ klasami ulegnie zapomnieniu.

II.

Teraz przechodzę do drugiej różnicy; pomiędzy bogatym a biednym — istniejącej w większym bodaj stopniu dziś, niż kiedykolwiek dotąd, czy to w świecie pogańskim, czy chrześcijańskim.

Różnica między bogatym a biednym opiera się na dwóch podstawach.

We właściwych granicach na podstawie słusznej i zawsze potrzebnej; po za niemi zaś na podstawie niesłusznej i nieustannie podkopującej cały gmach społeczny.

Słuszną podstawą bogactwa jest żądanie, aby każdy pracujący otrzymywał wartość swej pracy; a jeżeli nie życzy sobie zużyć jej dziś, aby mu pozwolono zachować ją i wydać jutro. Tak więc pilny człowiek, oddający się pracy codzien i odkładający codzien, dochodzi nareszcie do posiadania zgromadzonej sumy bogactwa, do którego ma absolutne prawo. Próżniak nic nie robiący, i rozrzutnik nic nie od-

kładający, będzie w tym samym czasie podwójnie biedny—biedny majątkowo i zdemoralizowany; wskutek tego zapagnie oczywiście pieniędzy, oszczędzonych przez człowieka przezornego. Gdyby mu wówczas dozwolono napaść na posiadającego i zabrać mu dobrze zasłużone bogactwo, zginęłaby wszelka pobudka do oszczędzania, jako też nagroda za dobre prowadzenie się; w ten sposób towarzystwo rozprzęgłoby się lub istniało tylko jako system rabunkowy. To też pierwszym warunkiem życia społecznego jest skrytalizowanie narodowego sumienia w prawie nakazującym, ażeby ten posiadał mienie, kto na nie zapracował.

To prawo, powtarzam, jest właściwą podstawą różnicy pomiędzy bogatym a biednym. Ale istnieje też i fałszywa podstawa tej samej różnicy, mianowicie, władza, jaką nad wytwórcami bogactwa mają ci, co je sobie przywłaszczają. Zawsze znajdzie się pewna ilość ludzi, których celem życia jest zbieranie pieniędzy. Ta klasa ludzi jest z konieczności klasą niewykształconą, niższą pod względem intelektualnym i mniej lub więcej tchórzliwą.

Jest fizycznym niepodobieństwem dla dobrze wychowanego, intelektualnego, lub dzielnego człowieka uczynić pieniądź głównym przedmiotem swych myśli; takim samem fizycznym niepodobieństwem, jakim byłoby zrobienie obiadu głównym przedmiotem myśli. Wszyscy zdrowi ludzie lubią zjeść obiad, ale nie czynią go głównym celem swego życia. Tak samo wszyscy ludzie umyślowo zdrowi lubią zarabiać pieniądze—powinni lubić i doznawać przyjemności ze zbierania ich; ale głównym celem ich życia nie jest

pieniądz, lecz coś od pieniądza lepszego. Dobry żołnierz, dajmy na to, życzy sobie głównie bić się porządnie. Cieszy się ze swej gaży — zupełnie właściwie postępuje, i słusznie jest niezadowolony, jeżeli mu jej przez dziesięć lat nie wypłacą—a jednak głównym ideałem jego jest wygrywanie bitew, nie zapłata za ich wygrywanie.

To samo można powiedzieć o lekarzach. Niewątpliwie lubią swe honorarya, powinni je lubić, jednakże jeżeli są dzielni i dobrze wychowani, całkowitym celem ich życia nie są honorarya. Na ogół biorąc, pragną oni leczyć chorych; a jeżeli są dobrymi doktorami i mają swobodny wybór, to raczej wolą wyleczyć pacyenta za darmo, niż zabić go za pieniądze. To samo da się powiedzieć o wszystkich dzielnych i odpowiednio ukształconych: ludziach; praca jest pierwsza, wynagrodzenie drugie—lecz zawsze bardzo ważne, ale przecie *drugie*.

Lecz w każdym narodzie, jak powiedziałem, jest obszerna klasa źle wychowanych, tchórzliwych i mniej lub więcej głupich, a u tych ludzi, tak pewnie zapłata jest pierwszą, a praca drugą, jak u dzielnych praca pierwszą, a zapłata drugą, a to wcale nie mała różnica. To stanowi całą różnicę w człowieku; różnicę między życiem a śmiercią, między niebem a piekłem.

Nie można służyć dwom mistrzom—*musicie* służyć albo jednemu albo drugiemu. Gdy u was praca pierwsza, a zapłata druga, praca jest waszym mistrzem i Pan pracy, którym jest Bóg; ale gdy zapłata u was pierwsza, a praca druga, zapłata jest wa-

szym mistrzem, i pan zapłaty, którym jest szatan; a nie tylko szatan, lecz najniższy z szatanów — „najmniej wzniosły z upadłych złych duchów.“

Tak się rzecz przedstawia w najkrótszych terminach. Praca pierwsza — jesteście sługami Boga. Płaca pierwsza — jesteście sługami szatana. A i teraz i zawsze wielką jest różnicą, czy służycie Temu, który na sukniach ma napisane „Król Królów” i którego służba jest doskonałą wolnością; czyli też temu, na którego sukni wypisano „Niewolnik niewolników,” a którego służba jest niewolą.

Jednakże w każdym narodzie jest zawsze i musi być pewna ilość tych sług szatana, których zasadniczym celem życia jest robienie pieniędzy. Są oni zawsze, jak powiedziałem, mniej lub więcej głupi, i nie mogą pojąć niczego piękniejszego, niż pieniądź? Głupota jest zawsze podstawą judaszowych transakcyj. Wyrządzamy wielką krzywdę Iskaryotowi, mając go za nędznika nad wszystkie nędzniki. Był on jeno zwyczajnym miłośnikiem pieniędzy i podobnie jak wszyscy miłośnicy pieniędzy, nie rozumiał Chrystusa; nie mógł pojąć Jego wartości i Jego znaczenia. Był przerażony, gdy się dowiedział, że Chrystus ma ponieść śmierć; natychmiast cisnął precz pieniądze i obwiesił się. Jak wielu naszych obecnych łowców pieniędzy, według waszego zdania, uważałoby za stosowne obwiesić się, gdyby ktokolwiek miał przez nich śmierć ponieść? Ale Judasz był zwykłym, samolubnym wyzyskiwaczem o ciasnej głowie; ręka jego tkwiła zawsze w sakiewce biedaka, na którego nie miał względu. Nie rozumiał zgoła Chrystusa, a jednakże wierzył w Niego, więcej aniżeli wielu z nas; widział Go

czyniącego cuda, uważał Go za dość mocnego na to, aby dał sobie radę, a on, Judasz, będzie mógł mimo to zgarnąć swój drobny zysk z afery. Chrystus mógł wyjść zwycięzko z trudnego położenia, na którym on zarobiłby trzydzieści srebrników. Oto idea zbieraczy pieniędzy na całym świecie. Nie nienawidzi on Chrystusa, ale nie może Go zrozumieć — nie troszczy się o Niego — nie widzi nic dobrego w troszczeniu się Oń. Bądź co bądź, musi mieć swój drobny zysk bez względu na następstwa.

Tak więc w każdej masie macie pewną ilość ludzi, dla których głównym celem życia jest robienie pieniędzy.

Muszę wygłosić tę jedną wielką zasadę — znajdziecie ją niezachwianie rzetelną—że gdy kiedykolwiek pieniądź jest głównym celem życia bądź to człowieka, bądź też narodu, to okaże się zarówno źle nabytym, jak i źle zużyтым; jest źródłem złego zarówno przy jego zyskiwaniu, jak i spożytkowaniu; ale gdy nie jest głównym celem, i on i wszystko inne będzie tak samo dobrze zyskane, jak i zużyte. I oto jest próba u każdego człowieka, czy pieniądź jest głównym celem jego życia, czyli też nie. Gdyby w sile wieku spoczął, mówiąc: „Mam teraz z czego żyć i z tego żyć będę; zarobiwszy to sobie uczciwie, wydam też uczciwie i opuszczę świat biednym, tak, jak nań przyszedłem,“ wtedy pieniądź nie jest głównym celem jego życia; lecz gdy mając z czego żyć w sposób, odpowiadający jego stanowisku, pragnie zarobić jeszcze więcej i *umrzeć* bogatym, wtedy pieniądź jest jego głównym celem, stając się i jego klątwą i tych zazwyczaj, którzy go po nim wydają.

Wiadomo przecież, że kiedyś wydany być *musi*; jedyne pytanie jest, czy ma je wydać ten, co go zarobił, czyli też kto inny. Zwykle lepiej jest, aby ten go wydał, kto go zebrał, gdyż zna najlepiej jego wartość i użytek. To jest rzetelne prawo życia. Jeżeli człowiek nie chce zużyć swych pieniędzy, musi je bądź o nagromadzać, bądź też wypożyczać, co jest zwykle rzeczą najgorszą, gdyż pożyczający zazwyczaj źle wydają pieniądze, a wszystko złe dokonywa się głównie za pożyczane pieniądze, i za które też i niesłuszne wojny się prowadzą.

Zaobserwujcie bowiem fakty odnośnie do pożyczek, dawanych obcym rządóm militarnym. Gdyby wasz mały chłopiec przyszedł i prosił o pieniądze na pukawki, kłótnie i ognie sztuczne, to pomyślelibyście dwa razy, zanimby od was co dostał: i przyszłoby wam na myśl, że pieniądz byłby wyrzucony, gdyby wyleciał w powietrze z racami, chociażby nie sprawił żadnej szkody; ale austriackie dzieci przychodzą do was, aby pożyczyć pieniędzy nie na niewinne spory, lecz na bagnety, aby uciskać niemi wolność we Włoszech; w tym wypadku dacie pieniądze natychmiast, gdyż wam za nie wpłynie procent. To jest nagi fakt, to jest praktyczne znaczenie waszych pożyczek zagranicznych i najwyższych procentów od pieniędzy; a potem spieracie się zaiste z biskupem z Colenso, jak gdyby zaprzeczał Biblii, gdy wy w nią wierzycie, chociaż każdy rozmyślny czyn waszego życia jest lekceważeniem jej podstawowych przykazań, i jak gdyby dla większości bogatych ludzi w Anglii nie było w tej chwili rze-

czą pożądaną, ażeby Biblia nie była prawdziwą, gdyż przeciwko nim to pisane są te jej słowa:

— Rdza waszego złota i srebra będzie świadczyła przeciwko wam, i będzie żreć wasze ciała, jakby to był ogień.

III.

Przechodzę obecnie do naszego trzeciego warunku: rozdziału pomiędzy ludźmi, pracującymi ręką, a ludźmi, pracującymi głową.

Tu mamy przynajmniej nieuniknioną różnicę. Musi bowiem być praca, wykonywana ręką, gdyż inaczej nikt z nas nie mógłby żyć. *Musi* bowiem być też praca wykonana mózgiem, inaczej bowiem życie nicby nie było warte. A ci sami ludzie nie mogą wykonywać obydwóch. Trzeba robić ordynarną pracę i do tego muszą być ordynarni ludzie; trzeba zrobić delikatną pracę i do tego muszą być dżentelmani; a jest fizycznym niepodobieństwem, aby jedna klasa wykonywała lub dzieliła pracę drugiej. I nie ma sensu starać się ukryć tego smutnego faktu w pięknych słowach i mówić robotnikowi o zaszczytności pracy ręcznej i o godności człowieczeństwa. Stare przysłowie Sanszo Panszy powiada, że „ładne słowa nie omoszczą rzepy;“ i mogę wam oświadczyć, że teraz właśnie w całej Anglii wy, robotnicy, za wiele kupujecie masła w tym właśnie handlu nabiałowym. Ordynarna praca, zaszczytna czy też nie, wysysa z was życie, a człowiek, który cały dzień wydobywał glinę z rowu, lub prowadził całą noc pospieszny pociąg pod wiatr północny, lub obracał do białości rozpalone żelazo w otworze pieca, że człowiek ów nie jest

tym samym przy końcu dnia, lub nocy, co ten, który siedział w cichym pokoju, otoczony wygodą, czytając książki, klasyfikując motyle, lub malując obrazki. Jeżeli może pocieszyć was powiedzenie, że ordynarna praca jest zaszczytniejsza, to przykro mi pozabawiać was tej jedynej pociechy, chociaż do pewnego stopnia niema potrzeby tego. Ordynarna praca jest w każdym razie realna, uczciwa i zwykle, chociaż nie zawsze, użyteczna; podczas gdy delikatna praca jest w znacznej swej części głupia i fałszywa w tym samym stopniu, co i ordynarna, a dlatego niezaszczytna; ale gdy oba rodzaje są równie dobrze i uczciwie wykonane, praca głowy jest szlachetna, a ręki nieszlachetna; a o jakiegokolwiek pracy ręcznej, potrzebnej do utrzymania naszego życia, stare słowa: „W pocie czoła chleb swój jeść będziesz,“ wyraźnie świadczą, że z naturą jej spustoszenie jest związane, i że ziemia z naszego powodu przeklęta, rzuca też cień poniżenia na walkę naszą z cierniami i ostami; wszystkie więc narody ustanawiały pewne dni zaszczytne, czyli „święte,“ i nazwały je „świętami,“ czyniąc z nich dni spoczynku; a błogosławieństwo, rzucające wśród wszystkich naszych odległych nadziei jasne światło na naszą śmierć, to obietnica dla wszystkich, umierających w Panu, że „spoczną po swych pracach, a dzieła ich pójdą za nimi.“

Tak więc musi powstawać ciągłe pytanie i spór o to, kto ma pełnić ową ordynarną pracę i jak należy upośledzonych pracowników pocieszać i nagradzać? i jaka im się należy rozrywka, jaki odpoczynek, zarówno w tym świecie (bodaj czasami), jak i w następnym? Aby odpowiedzieć na te pytania, mu-

simy, moi dobrzy przyjaciele, jeszcze czas jakiś poczekać. Ale odpowiedzieć na nie musimy; wszyscy dobrzy ludzie i uczciwi myśliciele są tem zajęci. Wiele głów rozmyśla nad tem, lecz wiele jeszcze odkryć trzeba poczynić i wiele poczynić nadaremnych usiłowań, zanim da się coś stanowczego powiedzieć.

Teraz zanotujcie sobie jedynie tych parę szczegółów, które są pewne.

Obecnie kilka słów o podziale ciężkiej pracy. Nikt z nas, albo jeno nie wielu z nas, wykonywa ciężką lub lekką pracę, nie dlatego, że jest to naszym obowiązkiem; lecz ponieważ wlaźła nam w drogę i nie możemy jej pominąć. Otóż nikt nie robi dobrze tego, co czyni z musu; praca wtedy jeno wykonana jest dobrze, kiedy towarzyszy jej ochota, a niema ochoty tam, gdzie człowiek nie wie, że czyni to, co powinien, i że jest na swoim stanowisku. Ufajcie mi, że każda praca musi być w końcu zrobiona nie w sposób nieporządny, bezładny, zwierzęcy, lecz w sposób porządny, wojskowy, ludzki— to znaczy słuszny sposób. Zaciągają ludzi do pracy zabójczej—pracy wojennej: liczą ich, ćwiczą, karmią, ubierają i chwala za nią. Niech więc zaciagną ich także do pracy, która karmi; niech ich odliczą, wyćwiczą, nakarmią, ubiorą i pochwala za nią. Uczcie obchodzenia się z pługiem tak samo troskliwie, jak uczycie obchodzenia się z mieczem, i niechaj oficerowie wojsk życiodajnych będą tak samo uważani za dżentelmanów, jak oficerowie wojsk śmiercionośnych, a wszystko będzie zrobione; lecz ani ta, ani żadna inna słuszna rzecz nie może być dokonana — nie uczycie nawet drogi do niej prowadzącej — zanim po

pierwsze tak pan, jak i sługa nie postanowią sobie, że niech się dzieje co chce, ale oni będą się nawzajem sprawiedliwie oceniać.

Ludzie bezustannie spierają się o to, coby było najlepsze do zrobienia, albo co najłatwiejsze, albo co najwłaściwsze; lecz nigdy, o ile ja sam slysze, nie pytają o to, co jest rzeczą *najslusniejszą*. A takie już prawo nieba, że nie będziecie zdolni osądzać, co jest mądre lub łatwe, zanim nie rozstrzygniecie wprzód, co jest sprawiedliwe, i zanim nie zaczniecie tego czynić. Mistrz nasz ustawicznie powtarzał: „Czyńcie sprawiedliwość i sądzcie.“ To jest rozkaz waszej Biblii, to jest „Służba Boża,“ a nie modlitwa i śpiewanie psalmów. Polecono wam istotnie śpiewać psalmy, gdyście szczęśliwi, i prosić w modlitwie, gdy wam czego potrzeba; za sprawą złego ducha myślimy, że modlitwa i śpiewanie psalmów, to właśnie „służba.“ Gdy dziecko potrzebuje czegokolwiek, to wbiega i prosi o to swego ojca, ale czyż ono to nazywa przynoszeniem ojcu usługi? Gdy prosi o zabawkę lub kawałek placka — czyż nazywa to służeniem swemu ojcu? To u Boga nazywa się modlitwą, którą On lubi. On lubi, abyście w potrzebie prosili Go o placek; ale nie nazywa tego służeniem Mu.“

Prośba nie jest służbą. Bóg tak samo nie lubi żebraków, jak i wy — gdyż On lubi uczciwą służbę, a nie żebraninę.

Gdy dziecko bardzo kocha swego ojca i jest bardzo szczęśliwe, wyśpiewuje wokół niego piosenki; lecz nie nazywa tego służeniem swemu ojcu; to też śpiewanie pieśni o Bogu nie nazywa się służbą Bogu. Jest to przyjemność dla nas, jeżeli jest cze:mkol-

wiek wogóle; najprawdopodobniej nie jest to zgoła nic; ale jeżeli jest czemś, to tylko służeniem sobie, a nie Bogu. A jednakże jesteśmy dosyć bezczelni na to, aby nasze prośby i zawodzenia nazywać „służbą Bożą.“ Mówi się: „służba Boża zostanie odprawiona o godzinie 11-ej.“ Niestety! jeżeli nie spełniamy służby Bożej w każdej chwili swego życia, to nie spełniamy jej wcale. Jedyna Boska praca—jedyna przykazana ofiara—to czynić sprawiedliwość; a jednak to rzecz ostatnia, do uczynienia której czujemy skłonność. Raczej wszystko inne, niż to! Miłosierdzia, ile się wam podoba, byle nie sprawiedliwości.

„Miłosierdzie—powiecie—jest większe od sprawiedliwości.“ Zapewne, że jest większe; jest to szczyt sprawiedliwości — jestto świątynia, której podstawę stanowi sprawiedliwość. Lecz nie można mieć szczytu bez spodu; nie można budować na miłosierdziu. Trzeba koniecznie budować na sprawiedliwości, dla tego głównie powodu, że naprzód nie macie do budowy miłosierdzia. To jest ostatnia nagroda dobrej pracy; czyn sprawiedliwość swemu bratu (bez względu na to, czy go kochasz lub nie), a dojdiesz do pokochania go. Ale czyn mu niesprawiedliwość, ponieważ go nie kochasz, a dojdiesz do nienawidzenia go. Bardzo to ładnie myśleć, że można zacząć budować na miłosierdziu; ale spostrzeżecie, że wszystko, z czem możecie rozpocząć, zaczyna się w domu, i jest miłością siebie samego; wy ludzie, mający się dobrze, którzy jesteście tu dzisiaj obecni, pójdziecie najbliższej niedzieli na „służbę Bożą“, gładcy i schłodni, małe wasze dzieci wdzieją swoje ładne obcisłe kamaszki odświętne, i piękne piórka w kapeluszach.

będziecie myśleć z zadowoleniem i nabożeństwem, jak ładnie wyglądają! Tak jest istotnie: kochacie je serdecznie i lubicie zatykać piórka w ich kapelusze. To bardzo dobrze—to jest miłosierdzie; ale to miłosierdzie, zaczynające się w domu. Następnie ujrzyście biednego małego zamiatacza ulicy, który włożył—to jego strój niedzielny — najbrudniejsze łachmany, jakie posiada, aby módz lepiej zebrać; dacie mu kilka groszy, i pomyślicie, jacyście dobrzy. To miłosierdzie po za domem, ale cóż powie sprawiedliwość, idąca obok was i strzegąca was? Chrześcijańska sprawiedliwość była dziwnie jakoś niema i pozornie ślepa, a jeżeli nie ślepa, to oddawna zgrzybiała, jednakże ciągle prowadzi swoje rachunki—stale—załatwiając je wieczorami bardzo troskliwie, zdjawszy opaskę i nałożywszy najsilniejsze okulary (to jedyny nowoczesny wynalazek, o który się troszczy). Musicie przyłożyć ucha blisko do jej ust, aby usłyszeć jej mowę; poczem zdziwicie się, usłyszawszy jej pierwszy szept, gdyż będą to napewno słowa: „Dlaczego ten mały zamiatacz ulicy nie miałby mieć tak samo piórka w kapeluszu, jak wasze dziecko?“ Spytacie wtedy sprawiedliwości ze zdziwieniem, „jak może być tak głupia, aby myśleć, że dzieci mogą zamiatać ulice z piórami na głowie?“ Pochyliwszy się znów, usłyszycie głos sprawiedliwości mówiący—ciągle w swój nudny, głupi sposób: „Czemu co drugą niedzielę nie każesz swemu dziecku zamiatać ulicy i nie wezmiesz z sobą biedaka do kościoła w kapeluszu z piórkiem?“ Na litość (zawołacie), cóż ona jeszcze zechce wymyślić? Odpowiadacie oczywiście, że „nie czynicie tak, bo każdy powinien być zadowolony ze stanowiska,

na jakim go Opatrzność postawiła.“ Ah, moi przyjaciele, to jest rdzeniem całej sprawy. Czy Opatrzność postawiła ich na tem stanowisku, czyli też wy sami? Spychacie człowieka do fosi, a potem każecie mu być zadowolonym ze stanowiska, na „którem Opatrzność go postawiła.“ To jest nowoczesne chrześcijaństwo.— „Myśmy go nie zepchnęli do fosi.“ Zkąd wiecie, coście uczynili, albo co czynicie? Bo to jest właśnie rzecz, którą wszyscy powinniśmy wiedzieć, a której dopóty nie dowiemy się, dopóki co rano będziemy się pytać, nie jak wykonać rzecz zyskową, ale jak wykonać rzecz sprawiedliwą; i dopóki nie będziemy przynajmniej tak daleko na drodze do stania się chrześcianami, aby zrozumieć maksymę biednego mahometanina, że „jedna godzina spełniania sprawiedliwości warta jest siedmdziesięciu lat modlitwy.“

Przypuściwszy tedy, że określiliśmy z odpowiedzią sprawiedliwością, kto ma wykonywać pracę ręczną, to następnem pytaniem jest, jak należy wyrobników ręcznych płacić, jak mają odpoczywać i jaką mają mieć zabawę? Przypuszczalna jakoś zabawy zależy od przypuszczalnej ilości zapłaty; a ilość zapłaty powinna być przedmiotem rozmyślań nie tylko samych wyrobników, lecz wszystkich pracowników. Ogólnie biorąc, dobra, użyteczna praca, czy to ręczna, czy umysłowa, jest bądź-to źle płatna, bądź też nie płatna wcale. Nie mówię, że tak być powinno, ale tak jest zawsze. Żadna najlepsza praca w sztuce, literaturze lub nauce nie jest należycie zapłacona. Wiele myślicie dostał Homer za swoją „Iliadę“? albo Dante za swój „Raj“? Tylko gorzki chleb i sól; człowiek, który odkrył teleskop i pierwszy widział niebo, doczekał

się w nagrodę ciemnicy; człowiek, który wynalazł mikroskop i pierwszy widział ziemię, umarł z głodu, wypędzony ze swojej ojczyzny; jest zaiste rzeczą bardzo jasną, że Bóg chce, aby wszelką prawdziwie dobrą robotę i wszelką dobrą mowę dawano ludziom za darmo. Bo to zaiste jest prawdziwa zapłata Ojca świata. Ile razy którekolwiek z dzieci świata pracuje dla dobra tegoż świata uczciwie, głową i sercem, i powiada: „Daj nam trochę chleba, tyle tylko, żeby podtrzymać w nas życie,” ojciec świata odpowiada: „Nie, moje dzieci, nie dam wam chleba, ale dam kamienie, ile wam się podoba, albo ile potrzeba, aby wam nakazać spokój.“

IV.

Muszę teraz przejść do ostatniego rozdziału, odnoszącego się do nas wszystkich, jako pracowników: Co to jest mądra praca, a co głupia? Jaka jest różnica między sensem a bezsensem w codziennym zatrudnieniu?

Otóż mądra praca jest to, krótko mówiąc, praca z Bogiem, głupia zaś praca przeciwko Bogu. A praca, wykonana z Bogiem, której On pomaga, może być opisana krótko jako „porządkowanie“ — to jest wykonywanie Boskiego prawa porządku, duchowego i materialnego, wśród ludzi i rzeczy. Pierwsza rzecz, którą należy wykonać, pierwsza „dobra praca,“ to w odniesieniu do ludzi przestrzeganie sprawiedliwości, a w stosunku do rzeczy, przestrzeganie czystości. Przeciwko tym dwóm wielkim ludzkim czynom, sprawiedliwości i porządku, walczą nieustannie dwa wiel-

kie demony — niesprawiedliwości i nieporządku, czyli śmierci, gdyż śmierć jest tylko najwyższym stopniem nieporządku. Tych dwóch szatanów trzeba zwalczać codziennie. Nie zwalczając demona niesprawiedliwości, pracujecie dla niego: „Czynicie niesprawiedliwość“ i ściągacie na siebie potępienie, gdyż wyrok na was będzie brzmiał tak: „Idźcie precz odemnie wy, którzy czynicie niesprawiedliwość.“ O ile nie opieracie się demonowi nieporządku, czynicie nieporządek, i spełniacie sami pracę śmierci, co jest grzechem i pociąga za sobą swą nagrodę: śmierć.

Uważajcie więc, że wszelka rozumna praca posiada głównie trojaki charakter: jest uczciwa, użyteczna i wesoła.

1. Jest *uczciwa*. Nie znam nic dziwniejszego nad to, że uznajecie uczciwość w zabawie, ale nie uznajecie jej w pracy. W swych najbliższych grach macie zawsze kogoś, kto przestrzega tak zwanej uczciwej gry.

W boksowaniu się trzeba uderzyć uczciwie, w wyścigach rozpocząć bieg uczciwie. Angielskiem hasłem jest uczciwa gra; nieuczciwej nienawidzicie, czy uderzyło was kiedy, że potrzeba innego jeszcze hasła, to jest: „uczciwa praca“, i że powinniście znienawidzić nieuczciwą pracę? Wasz siłacz zawodowy ma w sobie jeszcze iskrę honoru, który posiadają też i otaczający go pierścieniem ludzie; osądzą, że przegrał, jeżeli nieuczciwie uderzył. Lecz wasz kupiec zawodowy wygrywa partyę drogą nieuczciwej sprzedaży i nikt przeciwko temu nie krzyczy. Wypędzacie szulera, który gra fałszywymi kostkami, ale kupca, który używa fałszywych wag, zostawiacie

w spokoju kwitnącego interesu! Boć każde nieuczciwe postępowanie jest używaniem fałszywych wag. Cóż to szkodzi, jeżeli otrzymam mniejszą wagę, sfałszowany materiał, lub nierzetelny fabrykat? Błąd w fabrykacji jest bezwątpienia najgorszy. Dajcie mi złą miarę w jadle, a tylko stracę na tem; ale dajcie mi sfałszowane jadlo, a umrę od niego. Tu więc jest wasz główny obowiązek, wy, robotnicy i rzemieślnicy—obowiązek rzetelności wobec siebie samych i nas, którzy radziłyśmy pomódz wam, nie możemy jednak uczynić dla was nic, ani wy sami dla siebie, bez uczciwości. Miejcie to, a będziecie mieć wszystko; bez niej zaś wasze głosowania, wasze reformy, wasze ustawy o wolnym handlu, wasze instytucje naukowe—wszystko nic nie znaczy. Szkoda jednoczyć głowy, jeżeli nie możecie zjednoczyć serc. Ramię do ramienia, prawica do prawicy, pośród samych siebie, i nie wyciągajcie nieżyczliwej ręki do nikogo, a możecie jeszcze zawojować świat.

2. Mądra praca jest użyteczna i nikt nie ma, lub nie powinien mieć nic przeciwko temu, że dana praca jest ciężka, skoro tylko jest z niej pożytek; ale gdy jest ciężka i nic z niej nikomu, gdy nasza cała robota pszczół zamienia się na pajęczą, a zamiast plastrów miodu, osiągamy tylko pajęczynę, którą najbliższy wietrzyk rozwieje—to rzecz okropna dla pracownika. A jednak, czy kiedykolwiek pytamy się siebie osobiście lub jako naród: żali wasza praca przynosi jaki rezultat lub też nie? Nie dbamy o utrzymanie tego, co zostało szlachetnie wykonane; jeszcze mniej troszczymy się o szlachetne wykonanie tego, coby inni mogli zachować, a już

najmniej staramy się o to, aby uczynić pracę użyteczną, zamiast zabójczą dla pełniącego ją, tak, aby używał swego życia, a nie trwonił go. Ze wszystkich zbrodni, największa, jakiej możecie się dopuścić, to trwonienie pracy. Gdybyś, zszedłszy rano do swej mleczarni, ujrzał, że twe najmłodsze dziecko udało się na dół przed tobą, i że bawiło się razem z kotem, że wylało całą śmietaną na podłogę, aby ją kotek zlizął, tobyś wykrzyczał dziecko i żałował zmarnowanego mleka. Ale gdy zamiast drewnianych czasz z mlekiem, masz złote czasze z życiem ludzkim, a zamiast bawiącego się kota, bawiącego się dyabła, a ty sam używasz rozrywki, i gdy zamiast zostawić, aby Bóg rozbił złotą czaszę przy fontannie, ty ją tłuczysz w pyle i wylewasz ludzką krew na ziemię, aby ją szatan zlizął—to nie jest trwonieniem! Co! ty myślisz może, że „trwonienie ludzkiej pracy nie jest zabijaniem?” Czyż nie? Chciałbym wiedzieć, jak zdołałbyś zabić gruntowniej—zabić drugą śmiercią? Najłagodniejszą metodą mordowania jest zatrzymanie ludzkiego oddechu. Głód, zimno i małe świszczące kule—ci posłannicy miłości między narodem a narodem—przyniosły dotąd przyjemność wielu ludziom; słodkie wyzwoliny i pozwolenie udania się na koniec tam, gdzie się jest mile widzianym i szczęśliwym. W najgorszym razie jest to tylko skrócenie życia, a nie skorrumpowanie życia; ale gdy się zaprzęga człowieka do niskiej roboty, gdy się krępuje myśli, oślepia wzrok, niszczy nadzieje, kradnie radości, skarła ciało i rozsadza dusze, a w końcu nie zostawia mu się nawet tyle, żeby zebrał lichy owoc swego poniżenia, lecz przywłaszcza się to sobie, i odprawia

go do grobu po skończeniu z nim rachunku, po uczy-
nieniu murów tego grobu, o ile to można, wiecznie
trwałemi, jakkolwiek sądzę, że cegły niektórych na-
szych grobów familijnych będą trzymać się z sobą
mocniej w dzień zmartwychwstania, niż darni nad
głową robotnika, to nie jest niby trwonieniem
i grzechem!

3. W końcu: rozumna praca jest *wesoła*, jak
praca dziecka. Życzę sobie, abyście wynieśli ztąd
z sobą jedną myśl i zachowali ją na zawsze.

Każdy w tej sali uczył się modlić codziennie:
„Przyjdź królestwo Twoje“. Gdy słyszymy człowie-
ka, klnącego na ulicy, uważamy to za coś bardzo
złego i mówimy, że on „bierze imię Boga nadare-
mno.“ Ale jest dwadzieścia razy gorszy sposób, niż
ten, brania imienia Jego nadaremno. A mianowicie:
proszenie Boga o to, czego nie potrzebujemy. On nie
lubi tego rodzaju modlitwy. Skoro nie potrzebujecie
czego, nie proście o to; taka prośba bowiem jest naj-
gorszem przedrzeźnianiem Króla, jakiego się możecie
względem niego dopuścić; niczem wobec tego byli
żołnierze, bijący go prętami po twarzy. Gdy nie pra-
gniesz Jego królestwa, nie proś o nie. Ale gdy pra-
gniesz, musisz czynić więcej, niż modlić się; musisz
zapracować na nie, aby zaś na nie zapracować, mu-
sisz wiedzieć, czem ono jest; prosiliśmy o nie bez-
myślnie długi czas. Uważajcie, że jestto królestwo,
które ma przyjść do nas; nie my mamy iść ku nie-
mu. Nie ma to być również królestwo zmarłych,
ecz żywych. Nie ma też nastać nagle, ale spokojnie;
nikt nie wie, jak „Królestwo Boże przyjdzie niepo-
strzeżone.“ Będąc zaś w nas, nie może być widzia-

ne, lecz odczute; a chociaż przynosi z sobą dobro i nie polega na niem: „Królestwo Boże nie jest mięsem lub napojem, lecz sprawiedliwością, spokojem i radością w Duchu Świętym“, radością w świętym, zdrowie i nadzieje niosącym Duchu. Gdy chcemy pracować dla tego Królestwa, i sprowadzić jej, i wnieść w nie, trzeba naprzód przyjąć jeden warunek.

Musicie wnieść w nie jak dzieci, albo nie wejść wcale. „Ktokolwiek nie przyjmie go jak małe dziecko, nie wejdzie weń.“ I znów: „Dozwólcie małym dzieciom dostąpić do mnie, i nie brońcie im, ponieważ takich jest Królestwo Niebieskie.“ *Takich*, uważajcie. Nie dzieci samych, ale takich jak dzieci. Sądzę, że wiele matek, czytając te słowa, mniema, iż niebo będzie pełne niemowląt. Ale rzecz nie tak się ma. Będą tam dzieci, ale z koroną siwych włosów. „Długie dni, długie życie i pokój,“ oto jest błogosławieństwo, a nie śmierć w niemowlęctwie. Dzieci umierają jeno za grzechy swych rodziców; Bóg przeznaczył je do życia, lecz nie zawsze może im pozwolić żyć; wtedy dostają się wcześniej do nieba; i małe dziecko Dawida, za które daremnie modlono się i małe dziecko Jeroboama, zabite nogą matki na jej własnym progu—znajdą się tam oboje, lecz stary znużony Dawid, stary znużony Barzillai, nauczysz się w końcu lekcyi dziecinnej, znajdą się tam także; a jedyną kwestyę dla nas wszystkich, młodych czy starych, jest, czyśmy się wyuczyli naszej lekcyi? Potrzeba nam *charakteru* dziecka, który musimy koniecznie uzyskać; zobaczymy pokrótce, na czem on polega.

Pierwszą cechą dzieciństwa jest skromność. Dobrze wychowane dziecko nie myśli, że może nauczyć czegoś swych rodziców, lub że wie wszystko. Może myśleć, że ojciec i matka wiedzą wszystko — może zresztą myśleć, że wszyscy dorośli wiedzą wszystko; ale napewno jest przekonane, że *ono* samo nie wie. To też nieustannie stawia pytania i pragnie wiedzieć coraz więcej. To więc jest pierwsza cecha dobrego i mądrego człowieka, kiedy pracuje. Wiedzieć, że umie bardzo mało; — pojmować, że ponad nim jest wielu mędrszych od niego, i stawiać ustawicznie pytania, pragnąc uczyć się, a nie uczyć. Nie uczy dobrze ten, kto chce uczyć, albo nie rządzi dobrze ten, co pragnie rządzić; stara to sentencya (Platona, tylko nie wiem, czy on jest jej twórcą) i zarówno mądra, jak stara.

Drugą cechą dziecka, to żywić zaufanie. Przeczuwając, że jego ojciec wie, co dla niego jest najlepsze, i przekonawszy się zawsze, ilekroć razy zapragnęło iść samowolnie przeciwko niemu, że on miał rację, a ono nie, szlachetne dziecko zaufa mu w końcu całkowicie, poda mu swą rękę i pójdzie z nim na ślepo, jeżeli tego zechce. I to jest także cechą wszystkich dobrych ludzi, jako posłusznych pracowników, lub żołnierzy pod wodzą kapitana. Muszą oni ufać swym kapitanom;—zniewoleni są oni wybrać tych jeno, którym mogą zaufać. A wtedy nie myślą zawsze, iż to, co się im wydaje dziwne, albo złe w tem, czego się od nich wymaga, jest istotnie dziwne lub złe. Znają oni swego kapitana: muszą iść za jego przewodem, muszą czynić, co im rozkaże; a bez tego zaufania i wiary, bez tego kapitań.

stwa i wojskowości, żaden wielki czyn, ani zbawienie nie jest dla człowieka możliwe. Wszystkie narody stają się wielkie dopiero po osiągnięciu tej wiary: Żyd, Grek i Mahometanin zgodnie zdają się to zdanie potwierdzać. To absolutne zaufanie uczyniło Abrahama ojcem wiernych; uznanie władzy Boga, jako wodza nad wszystkimi ludźmi, i przyjęcie kierownika, którego on wyznaczył jako komendanta wiernych, dało podwaliny narodowej potęgi, jaka jeszcze istnieje na Wschodzie. Tak samo czyn Greków, którzy stali się typem nieegoistycznych i szlachetnych żołnierzy po wszystkich ziemiach i po wszystkie czasy, został upamiętniony na grobie tych, którzy poświęcali dlań życie w najpatetyczniejszej, o ile wiem, ze wszystkich ludzkich sentencji: „O! przechodniu, pójdz i powiedz naszemu ludowi, że spoczywamy tu za posłuszeństwo jego słowom.“

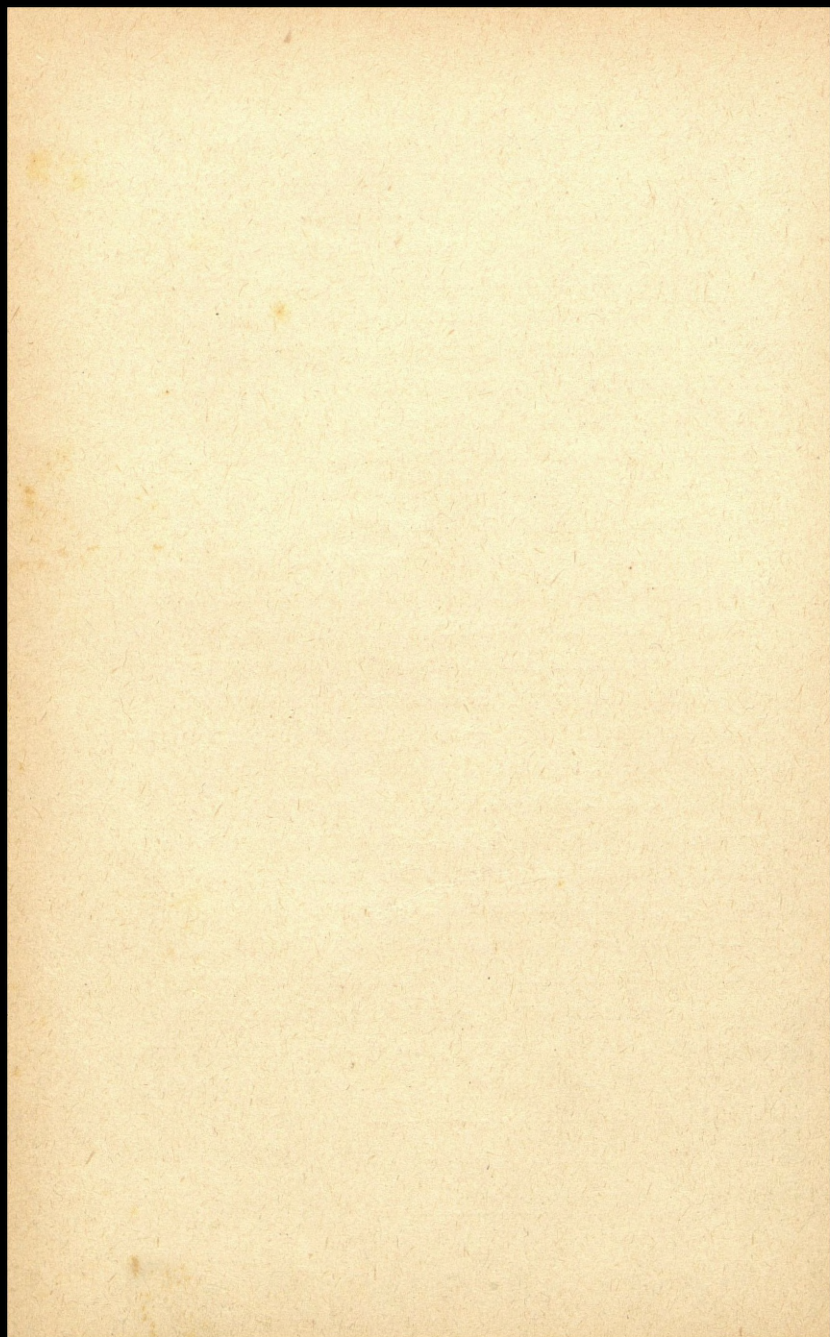
Trzecią cechą dzieciństwa jest być kochającym i szlachetnym. Daj dziecku odrobinę miłości, a otrzymasz w zamian wiele. Kocha ono wszystko wokół siebie, gdy jest dobrym gatunkiem dziecka—nikomu nie sprawi bólu, zawsze odda co ma najlepszego — nie pragnie przywłaszczyć sobie wszystkiego w domu i doznaje rozkoszy w niesieniu pomocy innym; nie można mu zrobić większej przyjemności, jak dać sposobność do okazania się użytecznym, bodajby w najmniejszym stopniu.

Dziecko wreszcie wskutek tych wszystkich cech jest wesołe. Ufając swemu ojcu, nie troszczy się o nic, żywiąc miłość do każdej istoty, zawsze jest szczęśliwe, czy to w zabawie, czy przy spełnianiu obowiązków. To samo jest cechą wielkiego praco-

wnika — nie myśli o jutrze, myśli jeno o obowiązku dnia; ufa, że kto inny zatroszczy się o jutro, wie, co to jest praca zaiste, nie wiedząc, co troska; zawsze gotów do zabawy, pięknej zabawy, gdyż miła zabawa ludzka jest jakby zabawą słońca. Oto wzór pracownika. Wierny przeznaczeniu, zdecydowany jest jak człowiek silny odbyć swą drogę, ale również jak silny człowiek doznaje z tego powodu przyjemności. Patrzcie, jak się bawi rano, gdy mgły są w dole, a chmury w górze, przez które przedzierają się potoki promieni i połysków — oto gra słońca; wielka gra ludzka jest podobna, urozmaicona, pełna światła i życia, subtelna, jak rosa poranna. Tak więc macie charakter dziecka w tych czterech rzeczach — pokora, wiara, miłosierdzie i wesolość. Oto, do czego macie się nawrócić. „Chyba, że się nawrócicie i staniecie się podobni do małych dzieci.” — Słyszemy obecnie wiele o nawracaniu się, ale ludzie zawsze zdają się myśleć, że nawrócenie ma człowieka unieszczęśliwić i wydłużyć mu fizyognomię. Nie, przyjaciele, macie wrócić do dzieciństwa, do rozkoszy i do sprawiania rozkoszy innym. Nie można znaleźć się na żadnym zebraniu, aby nie usłyszeć wiele o odszczepieństwie. O tak, odszczepieństwo! Powiadam wam, że na drogach, po których większość nas kroczy, im prędzej odpadniemy — tem lepiej.

Wracajcie do kolebki, jeżeli, idąc naprzód, zbliżacie się do grobu — wstecz, powiadam wam, napowrót — w dziecinne szaty. Tylko wpośród dzieci i tylko jako dzieci znajdziecie lekarstwo na gojącą, prawdziwą mądrość. Trucizna mieści się w radach światowego człowieka; słowa, jakie mówi, zawierają tylko

gorycz, „trucizna os jest na ich ustach,“ ale niemowlę będzie się bawić przy gnieździe szerszeni. Śmierć wyziera ze spojrzeń ludzkich. „Oczy ich skrycie skierowane są przeciwko biednym,“ są one jak wąż, co zabija wzrokiem, jak bazyliiszek. Ale „od piersi odstawione dziecię położy swą dłoń na gnieździe bazyliiszka.“ Śmierć tkwi w krokach ludzkich: „stopy ich są skore do lania krwi, objęli nas swemi kroki jak lwy łupu chciwe, i młode lwięta, na czatach będące,“ „ale w tem królestwie wilk spo- cznie obok jagnięcia, a kozłę obok lwa“ i „male dziecię pokieruje niemi,“ Śmierć tkwi w myślach ludzkich; świat jest dla nich jedną wielką zagadką, coraz ciemniejszą, im bliższą końca; ale tajemnica jej znana jest dziecku, a Panu nieba i ziemi należy się największa podzięka za to, że „ukrył te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a odsłonił je niemowlętom.“ Tak i jest jeszcze śmierć—cała nieskończoność śmierci w księztwach i państwach człowieka. Jak daleko zachód jest od wschodu, tak daleko nasze grzechy są — nie odsunięte od nas, lecz rozmnożone wokół nas; czy myślicie, że słońce, „cieszy się“ swym obiegiem, gdy posuwając się ku zachodowi po horyzoncie, czerwienieje od refleksu przelanej krwi, a zaczerwieni się jeszcze mocniej? Wzbraniacie się przeciwko temu napróżno; wróg i mściciel spadnie na was także, chyba, że pojmiecie, jako nie z paszcz armatnich, ani z wylotów strzelby, ale „z ust niemowląt i dzieci“ wyjdzie siła, która „uciszy wroga i mściciela.“



ODCZYT II.

Handel.

(Wygłoszony w magistracie w Bradford).

Moi dobrzy przyjaciele z Yorkshire, poprosiliście mnie tu pomiędzy wasze wzgórza, abym powiedział wam coś o zamierzonej przez was budowie giełdy; ale wybaczcie mi, proszę, gdyż ja nie myślę uczynić nic podobnego.

Nie mogę mówić wcale, albo tylko niewiele o tej waszej giełdzie. Ale muszę mówić o całkiem innych rzeczach, i to chętnie; nie zasłużyłbym na wasze względy, gdybym, zaproszony do mówienia o jednym przedmiocie, mówił samowolnie o drugim. Lecz nie mogę porządnie mówić o czemś, na czem mi zgoła nie zależy; a muszę wam oświadczyć ze smutkiem, że nic mnie ta wasza giełda nie obchodzi.

Gdybym, zaproszony przez was, odpowiedział, że „nie przyjdę, bo nie dbam o giełdę w Bradfordzie,” zupełnie słusznie mielibyście do mnie urazę,

nie znając powodu tak dziwnej obojętności. Dlatego stawiałem się w nadziei, że dozwolicie mi cierpliwie wyjaśnić, dlaczego zachowuję milczenie przy tej, jako też innych podobnych okazjach, gdy poprzednio byłbym skorzystał ze sposobności, aby przemówić wobec uprzejmego audytoryum.

Jednem słowem, nie dbam o tę giełdę, ponieważ i *wy sami* o nią nie dbacie, i ponieważ wiecie doskonale, że na was w tym kierunku wpłynąć nie mogę. Spójrzycie na istotne cechy sprawy, które wy, jako ludzie do interesu, znacie doskonale, a zdaje się wam, że ja je przeoczam. Macie zamiar wydać 30,000 funtów (300,000 rubli. *Przypisek tłóm.*), która to suma jest dla was zbiorowo niczem; kupienie nowego surduta jest, o ile się to do kosztu odnosi, przedmiotem o wiele poważniejszej rozwagi dla mnie, aniżeli wystawienie giełdy dla was. Sądźcie, że powinniście mieć odpowiednią rzecz za swoje własne pieniądze. Wiecie, że istnieją w architekturze różne dziwaczne style; nie życzyście sobie wystawienia czegoś śmiesznego; pomiędzy innymi, słyszeliście o mnie, jako o przyzwoitym kupcu architektury; to też posyłacie po mnie, abym pouczył was o panującej modzie i powiedział, jakie w tej chwili mamy na składzie najnowsze i najmiłsze oku wieżyczki.

Otóż wybaczcie mi, gdy wam powiem otwarcie, że nie możecie mieć dobrej architektury, pytając innych o radę przy zdarzonej tylko sposobności. Każda dobra architektura jest wyrazem narodowego życia i charakteru, a wynika z ogólnie panującego smaku narodowego lub pragnienia piękna. Proszę was, ażebyście zastanowili się nieco nad głębokiem

znaczeniem słowa „smak;“ bo żadne moje twierdzenie nie było nigdy tak mocno przekręcone, jak to, że dobry smak jest w swej istocie właściwością moralną. — Nie—powiada wielu z mych antagonistów—smak swoją drogą, moralność zaś swoją drogą. Powiedz nam, co jest ładne; pragniemy bardzo wiedzieć; ale nie mów nam kazań.

Niech mi więc będzie wolno poprzeć kilku słowy ten mój ulubiony dogmat. Smak nietylko jest częścią i wskaźnikiem moralności, ale jedyną moralnością. Pierwszem, ostatniem i najściślejszem pytaniem w stosunku do każdej żywej istoty jest: „co lubisz?“ Powiedz mi, co ci się podoba, a ja ci powiem, czem jesteś. Wyjdź na ulicę i spytaj pierwszego spotkanego mężczyznę, lub pierwszą kobietę, jaki jest jego, lub jej „gust,“ a jeżeli odpowiedzą otwarcie, poznacie ich nawskróś. „Ty, mój przyjacielu w łachmanach, o niepewnym chodzie, co lubisz?“ „Fajkę i kwaterkę dżinu.“ Znam cię. „Ty, dobra kobieto, o szybkim chodzie i schludnym kapeluszu, co lubisz?“ „Zamiecione ognisko, czyste nakrycie na stole, siedzenie naprzeciwko męża i niemowlę u piersi?“ Dobrze, znam cię także. „Ty, mała dziewczynko o złotych kędziorach i łagodnych oczach, co lubisz?“ „Swego kanarka i spacer wśród hyacyntów leśnych.“ „Ty, mały chłopcze z brudnymi rękami i niskiem czołem, co lubisz?“ „Gniazda ptasie i grę w pliszki?“ Dobrze. Znamy teraz was wszystkich. O cóż więcej mamy się pytać?

— Za pozwoleniem—odpowiecie może.—Powinnością raczej się zapytać, co ci dorośli i te dzieci robią, a nie co lubią. Jeżeli czynią dobrze, mniejsza o to,

że lubią złe rzeczy; a jeżeli czynią złe, co nas obchodzi, że lubią dobre rzeczy. Czyn jest główną sprawą; i nic to nie znaczy, że ktoś lubi pić, skoro nie pije; albo że mała dziewczynka lubi być dobrą dla kanarka, jeżeli nie wyuczy się swych lekcyj; albo, że mały chłopiec lubi ciskać kamieniami do wróbli, jeżeli uczęszcza do szkółki niedzielnej.

Istotnie, na krótki przeciąg czasu i prowizorycznie będzie to prawdą. Ponieważ, jeżeli ludzie z rozmysłem czynią to, co dobre, z czasem polubią to dobre. Lecz znajdują się dopiero wtedy we właściwym stadium etycznym, gdy doszli do polubienia dobrego, a dopóki nie lubią go, dopóty są skłonni do występku.

Nie jest w stanie zdrowia cielesnego ten, kto ustawicznie pragnie butelki z kredensu, jakkolwiek dzielnie znosi to pragnienie; ale ten, któremu rano smakuje woda, a wino wieczorem, oczywiście każde w odpowiedniej dozie i porze. Jedynym celem prawdziwego wykształcenia jest nie tylko włożyć ludzi do czynienia dobrych rzeczy, ale i do zamiłowania dobrych rzeczy; nie tylko uczynić ich pracowitymi, ale i kochającymi pracę; nie tylko uczonymi, ale i miłującymi wiedzę; nie tylko czystymi, ale i kochającymi czystość; nie tylko sprawiedliwymi, ale i łaknącymi, oraz pragnącymi sprawiedliwości.

Ale możecie zapytać: „Czyż zamiłowanie ozdób zewnętrznych, obrazów, posągów, mebli, architektury, jest właściwością etyczną?” Oczywiście, jeżeli mamy do czynienia z właściwie skierowanym upodobaniem. Zamiłowanie do jakichkolwiek obrazów lub posągów nie jest właściwością moralną, ale zamiłowanie do

dobrych, jest nią. Tylko, że musimy tu zaraz określić słowo „dobry.” Przez dobry nie rozumiem sprytny, albo uczony, albo trudny do wykonania. Weźmy obraz Teniersa, przedstawiający pijaków, klójących się przy grze w kostki. Jest to wcale dobry obraz, tak dobry, że nie ma sobie równego w tym rodzaju; ale równocześnie jest to nikczemny i zły obraz. Jest to bowiem dowód upodlenia, płynącego z ciągłej kontemplacji przewrotnej rzeczy, a upodobanie takie jest właściwością „niemoralną.” Jest to „zły gust” w najpoważniejszym tego słowa znaczeniu—to gust i smak szatanów. Z drugiej znów strony obraz Tycyana, grecki posąg, grecka moneta, lub wreszcie krajobraz Turnera, są wyrazem upodobania, biorącego źródło w nieustannej kontemplacji rzeczy dobrej i doskonalej. A co jest całkowicie moralną właściwością—to gust i smak aniołów. Wszakże zamiłowanie sztuki i jej ukochanie przechodzi w proste ukochanie tego, co na miłość zasługuje. Nie jest rzeczą obojętną lub dowolną, czy kochamy to lub owo, stanowi to bowiem żywotną funkcję całej naszej istoty.

To, co lubimy, określa to, czem jesteśmy, i jest widowym znakiem tego, czem jesteśmy; to też uczyć smaku znaczy koniecznie kształtować charakter.— Gdym się nad tem zastanawiał, idąc onegdaj przez ulicę, wzrok mój padł na tytuł książki, wystawionej w księgarni. Traktowała ona: „O potrzebie rozszerzania gustu wśród wszystkich klas.” — Ah—pomyślałem sobie — gdy rozszerzysz gust, mój klasyfikujący przyjacielu, to gdzież się podzięją twoje klasy?

Człowiek, lubiący to samo, co ty lubisz, należy, według mnie, do jednej z tobą klasy. To rzecz nieu-

nikniona. Możesz zaprzędz go do innej pracy, jeżeli ci się tak podoba; ale, wskutek stanu, do jakiego go doprowadziłeś, będzie on czuł do tej innej pracy taki sam wstręt, jak ty. Weźmy zamiatacza ulicy lub domokrażcę, którego całą literaturą jest kalendarz, a muzyką katarynka. Czy myślisz, że ci się uda skłonić go do tego, ażeby lubił Dantego lub Beethoveną? Życzę ci powodzenia w tych lekcjach; jeżeli ci się uda, to uczynisz z niego dżentelmana—nie zechce on wracać do swego domokrażstwa.

Jest to rzecz tak ogólna i nie znająca wyjątku, że gdybym miał dziś wieczorem czas, wykazałbym wam, iż naród nie może odznaczać się jakimś występkiem lub słabością, bez wyrażenia ich czytelnie i na zawsze bądź to w złej sztuce, bądź też w braku sztuki; i że niema narodowej cnoty, małej lub wielkiej, któraby się nie ujawniła w całej sztuce, jaką okoliczności pozwolą narodowi, posiadającemu tę cnotę, wyprodukować.

Weźcie na przykład pod uwagę waszą wielką angielską cnotę wytrwałości i cierpliwego bohaterstwa. Obecnie posiadamy w Anglii jedną tylko sztukę o pewnym znaczeniu, to jest sztukę wyrobów żelaznych. Wiecie dobrze, jak łać i kuć żelazo. Czy sądzicie, że w tych masach lawy, którą roztapiacie i wykuwacie przy paszczach wystawionych przez was czeluści piekielnych; czy sądzicie, że na tych płytach żelaznych nie zapisały się na zawsze wasza odwaga i wytrwałość nie tylko żelaznym piórem, lecz i na żelaznym pergaminie?

A weźcie też pod rozwagę wadę angielską—wadę całego świata—wadę wszystkich światów, wy-

pełniających niebiosa, a otoczonych piekielną atmosferą, weźcie wadę zazdrości, wprowadzającej współzawodnictwo w handel, zdradę w wasze ciała parlamentarne hańbę w wasze wojny — tę wadę, która wam i sąsiadującym z wami narodom uniemożliwiła dzienne zajęcia bez zbroi na piersiach i miecza, na wpół z pochwy wyciągniętego; tak, że dziś można powiedzieć o wszystkich wielkich narodach, prowadzących tak zwane cywilizowane życie, co ongi stosowało się jeno do dzikich mieszkańców górzystego Cheviotu, że:

Zabierali się do jadra
W stalowych rękawiczkach,
A wino czerwone pili przez opuszczone przyłbice.

Czy sądzicie, że ta narodowa hańba i ta nikczemność serca nie są tak samo wyraźnie wypisane na każdym nicie waszej zbroi żelaznej, jak siła tej prawicy, która je ukuła? Przyjaciele, nie wiem do prawdy, czy to rzecz bardziej śmieszna, czy bardziej smutna.

Niewątpliwie jest i jednym i drugim. Przypuśćmy, że zamiast przez was, zostałbym zaproszony przez jakiegoś prywatnego dżentelmana, mieszkającego na przedmieściu, w domu, którego ogród byłby od najbliższego sąsiada oddzielony zwyczajnym tylko murem, i przypuśćmy, żeby zaprosił mnie dla zasięgnięcia rady odnośnie do umeblowania swego salonu. Zaczynam obzierać się wokoło i spostrzegam, że ściany są gołe; sądzę więc, że takie lub tapety byłyby bardzo pożądane — może mały fresk tu

i owdzie na suficie—adamaszkowa firanka przy oknie zdałaby się również.

— Ah—powiada mój gospodarz—adamaszkowe firanki! To wszystko bardzo ładne, ale, widzisz pan, mnie na to nie stać obecnie!

— A jednakże świat cały myśli, że pan masz znaczne dochody?

— Tak—powiada mój przyjaciel — ale obecnie muszę wszystko prawie wydawać na stalowe łąpki.

— Stalowe łąpki! na kogo?!

— Ano oczywiście na tego pana po drugiej stronie muru; jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, kapitałnymi przyjaciółmi; ale mimo to, jesteśmy zmuszeni zastawiać na siebie łąpki po obydwóch stronach muru; i nie moglibyśmy w żaden sposób żyć w zgodzie bez tychże łąpek i bez strzelb. Najgorszą ze wszystkiego rzeczą jest to, że obaj jesteśmy sprytni; to też nie upływa dzień, aby który z nas nie wynalazł nowej łąpki, albo nowej lufy, albo czegoś takiego; razem biorąc, każdy z nas wydaje na te łąpki piętnaście milionów rocznie i nie pojmuję, jakbyśmy mogli zredukować ten wydatek.

Wysoce śmieszny sposób życia dla dwóch dżentelmanów! Ale dla dwóch narodów wydaje się on nie tak komicznym. Dom waryatów byłby może śmieszny, gdyby zawierał w sobie jednego tylko waryata; a szopka śmieszna jest wtedy tylko, kiedy występuje w niej jeden kłown; ale gdy cały świat zamieni się w kłownów i maluje się na czerwono swą własną krwią serdeczną zamiast karminem, to sądzę, iż rzecz staje się więcej niż komiczna.

Wiem, że znaczna część tego wszystkiego, to

zabawka, którą chętnie uwzględniam. Nie wiecie już, jakie sprawiać sobie sensacye. Polowanie na lisy i krokiet nie wystarczą wam w tem nieznośnem, długiem, śmiertelnem życiu; lubiliście pukawki, będąc małymi chłopcami, a strzeby i armaty są tylko lepiej zrobionemi pukawkami; tylko, to rzecz smutna, że co było zabawką dla was chłopców, nie było zabawką dla wróbli; i że to, co jest dla was obecnie zabawką, nie jest wcale zabawką dla drobnych ptaszków politycznych, bo co się tycze czarnych orłów, to ja-koś nie macie ochoty celować do nich.

Ale wracajmy do rzeczy. Wierzcie mi bez żądania dalszych przykładów, że mógłbym wam zawsze udowodnić, iż każdego narodu cnota lub występki zapisały się w jego sztuce; żołnierskość wczesnej epoki rozwojowej Grecyi; zmysłowość późniejszych Włoch; wizyonerska religia Toskanii; wspaniała energia i piękność Wenecyi. Niema czasu czynić tego dzisiejszego wieczoru (uczynilem to już dawniej i przy innej sposobności); przystąpię raczej do zastosowania tej zasady do nas samych w nieco ściślejszy sposób.

Zauważyłem, że wśród wszystkich nowych budowli, pokrywających wasze dzikie niegdyś wzgórza, kościoły i szkoły zmieszane są we właściwym, to jest w wielkim stosunku, z młynami i dworkami; zauważyłem też, iż kościoły i szkoły są przeważnie gotyckie; młyny zaś i dworki nigdy nie są gotyckie. Czy pozwolicie mi zbadać ściśłą przyczynę tego zupełnie nowoczesnego zjawiska? Gdy wynaleziono gotyk, to domy tak samo były gotyckie, jak i kościoły; a gdy włoski styl nastąpił po gotyku, kościoły były zaró-

wno włoskie, jak i domy. Katedra w Antwerpii ma gotycką wieżę, magistrat w Brukselli posiada gotycką dzwonnice; Inigo Jones buduje włoski Whitehall, a sir Christopher Wren wznosi włoski kościół Ś. Pawła. Cóż wy zamierzacie dziś osiągnąć? Czy mam rozumieć, że chcecie waszą architekturę cofnąć do gotyku i że kościoły wasze są niejako eksperymentami, ponieważ nie zależy tak bardzo na pomyłkach, popełnionych w budowie kościołów? Albo czy mam rozumieć, że gotyk uważacie za wybitnie święty i piękny styl budowlany, który podobnie jak delikatne kadzidło, winien być zachowany jedynie dla służby Bożej? Bo jeżeli to jest wasze uczucie, to jakkolwiek na pierwszy rzut oka może się wydać pełne szacunku, znajdziecie ostatecznie, że w podstawie kwestyi oznacza to ni mniej, ni więcej, jak tylko fakt, że oddzieliliście religię od życia.

Zważcie bowiem, jakie szerokie znaczenie posiada ten fakt, i pamiętajcie, że nie tylko wy, ale cała ludność Anglii zachowuje się obecnie w taki sam sposób.

Wszyscy nabraliście zwyczaju nazywania kościoła „domem Bożym.“ Widziałem nad drzwiami wielu kościołów wryty napis: „To jest dom Boży, i to jest furta niebieska.“ Rozważcie teraz, z kąd się to zdanie wzięło i gdzie zostało po raz pierwszy wytworzone.

Chłopiec opuszcza dom ojcowski dla udania się w długą pieszą wędrówkę, aby odwiedzić stryja; wypada mu przejść przez wielką pagórkowatą pustynię; właśnie jak gdyby jeden z waszych własnych chłopców miał do przejścia płaszczyznę Westmorelandu

dla dostania się do stryja w Carlisle. Drugiego lub trzeciego dnia chłopiec wasz znajdzie się o zachodzie słońca gdzieś w samym środku stepu. Grunt jest kamienisty i błotnisty; nie może iść dalej pieszo tego wieczora. Kładzie się więc spać jak może najwygodniej, nagromadziwszy pod głowę kilka kamieni; okolica tak jest dzika, że oprócz kamieni, nic innego znaleźć nie może. Leżąc tak pod gołem niebem, śni sen; spostrzega drabinę, dotykającą ziemi, której wierzchołek zatapia się w niebie, a aniołowie niebiescy wstępują i zstępują po niej. Zbudziwszy się ze swe go snu, powiada: „Jak straszne jest to miejsce; zai- ste musi to być dom Boży, a to jest furta niebieska, To *miejsce*, zauważcie, nie ten kościół, nie to mia- sto, nawet nie ten kamień, który kładzie na pamiąt- kę—kawał krzemienia, na którym spoczywała jego głowa. Ale tylko to *miejsce*; ta kotlina pustynna, de- szczem smagana, śniegiem dręczona; to *jakiegokolwiek* miejsce, na które Bóg opuści drabinę. A jakże mo- żecie wiedzieć, gdzie to nastąpi? albo jak inaczej mo- żecie oznaczyć, gdzie ono być może, jak tylko bę- dąc zawsze do tego przygotowanymi? Czyż wiecie, w którą stronę piorun jutro uderzy? Częściowo wy to *wiecie*; możecie pokierować piorunem; ale nie mo- żecie pokierować wpływem ducha, który jest bly- skawicą, jaśniejącą od wschodu ku zachodowi słońca.

Ustawiczne i bezcelne wypaczanie tej senten- cyi jedynie dla celów kościelnych jest tylko jednym z tysiąca wypadków naszego cofania się do grubego judaizmu. Nazywamy swoje kościoły świątyniami.

Ale wy wiecie, a raczej powinniście wiedzieć, że one właściwie nie są świątyniami. Nigdy ani miały, ani mogą mieć cokolwiek wspólnego ze świątyniami. Są one raczej „synagogami,” „miejscami zebrań,” gdzie zbieracie się razem jako zgromadzenie; a nie nazywając ich tak, osłabiacie siłę innego znów potężnego tekstu, który mówi: „Pamiętaj, abyś modłać się, nie był takim, jakimi są hypokrycy; oni bowiem lubią modlić się w *kościolach*” (mybyśmy przetłómaczyli) „aby ich ludzie widzieli.” Lecz ty, gdy się modlisz; wejdź do komórki, a po zamknięciu drzwi za sobą, módl się do swego Ojca, który nie znajduje się ani na ambonie, ani w nawie, ale „jest utajony.”

Gdy mówię do was te słowa, doznajecie wrażeń—jestem tego pewny—jak gdybym usiłował pozbawić wasze kościoły. Ale rzecz się nie tak ma; przeciwnie, ja usiłuję wykazać szacunkowość waszych domów i ogrodów; usiłuję wykazać wam, że nie kościół nie jest świętym, lecz że cała ziemia jest taką. Pragnąłbym, abyście czuli, jak grzesznym jest wasz zwyczaj nazywania kościołów tylko „świętymi”, przez co profanujecie swe ogniska domowe; od pogan odróżniacie się tylko obalaniem wszystkich bóstw domowych, zamiast uznać w miejsce ich wielu bezsilnych Larów istnienie jednego jedyngo potężnego Pana i Lara.

„Ale cóż to wszysfko ma do czynienia z naszą giełdą?”—spytacie mnie niecierpliwie. Moi drodzy przyjaciele, to ma wiele do czynienia z waszą giełdą; na tych wewnętrznych i wielkich kwestyach polegają zewnętrzne i drobne; i skoroście mnie tu zaprosili na wykład dlatego, żeście się dotąd intereso-

wali tem, co pisałem, to wiecie, że wszystko, co powiedziałem o architekturze, służyło do udowodnienia powyższych słów. Książka, którą zatytułowałem „Siedm lamp“, miała na celu wykazać, że pewne rzetelne stany usposobienia i poczucia moralnego były tą siłą magiczną, za sprawą której powstała cała bez wyjątku dobra architektura. „Kamienie Wenecyi“ nie mają od początku do końca innego celu, jak wykazanie, że gotycka architektura Wenecyi powstała w swych wszystkich cechach z czystej wiary narodowej i z cnót domowych, i że architektura odrodzenia powstała w swych wszystkich cechach z ukrytej niewiary narodowej, oraz korzyści życia domowego. Teraz pytacie mnie, jaki jest najwłaściwszy styl? A jakże ja mogę odpowiedzieć, znając doniosłość obydwóch stylów inaczej, niż odpowiadając drugiem pytaniem—mianowicie: czy macie zamiar budować, jak chrześcijanie, czy jak poganie?—A ponadto—czy zamierzacie budować, jak uczciwi chrześcijanie, czy jak uczciwi poganie? jako ci, czy tamci, ale szczerze i sumiennie? Nie podobają się wam zapewne takie bezceremonialne pytania. Ale to nie moja wina, są one bowiem o wiele ważniejsze od samejże giełdy; a jeżeliby można na nie natychmiast odpowiedzieć, kwestya giełdy wyjaśniłaby się natychmiast. Ale nim pójdę dalej, muszę prosić o pozwolenie wyjaśnienia jednego punktu. W całej mojej przeszłej pracy usiłowałem wykazać, że dobra architektura musi być religijną—musi być wypływem wierzącego i cnotliwego, a nie niewiernego i zepsutego ludu. Ale czyniąc to, musiałem także wskazać, że dobra architektura nie jest *eklezyastyczną*. Ludzie tak są

skłonni patrzeć na religię, jako na zajęcie kleru, a nie swoje własne, że w chwili, gdy słyszą o czemś zależnem od „religii“, sądzą, że to samo musiało także zależeć od stanu kapłańskiego; wobec tego musiałem zająć pośrednie stanowisko i zwalczać obydwie błędne przekonania, częstokroć z pozorną niezgodnością. Dobra architektura jest owocem pracy dobrych i wierzących ludzi; zatem powiadacie wy, a przynajmniej niektórzy z was, że „dobra architektura musiała być owocem pracy duchowieństwa, a nie laików.“ Nie—tysiąc razy nie; dobra architektura była zawsze wpływem pracy laików, a nie kleru. Jakto, powiecie, a te wspaniałe katedry — ta chwała Europy? Czyż ich budowniczkowie nie stworzyli gotyckiej architektury? Nie; oni tylko skazili gotycką architekturę. Gotyk powstał w zamkach baronów, w ulicach mieszcuchów. Stworzyły go myśli, dłonie i władza wolnych obywateli, oraz wojowniczych królów; mnich użył go jako pomocy dla swego zabobonu; gdy zaś zabobon zamienił się w piękny szal, a najlepsze serca Europy nadarmo oddawały się próżnym snom i udręczeniom w klasztorach i napróżno ginęły w krucyatach—wtedy wskutek szalu, źle pojętej wiary i bezowocnych wojen, gotyk podniósł się także do swych najpiękniejszych, najfantastyczniejszych, a w końcu i najgłębszych snów, wśród których uległ zniszczeniu.

Sądzę, że teraz niema obawy, abyście mnie nie zrozumieli, gdy przystąpię do rdzenia rzeczy, którą postanowiłem dziś omówić — gdy więc powtórzę, że każda wielka architektura narodowa była wynikiem i wykładnikiem wielkiej religii narodowej; nie można jej mieć trochę tu, a trochę tam, lecz musicie ją mieć

wszędzie albo nigdzie. Nie jest ona bowiem monopolem duchownego stowarzyszenia — nie jest wykładnikiem dogmatu teologicznego — nie jest pismem hieroglificznem wtajemniczonej kasty kapłańskiej; jestto męzka mowa ludu, przejętego stanowczym i wspólnym celem i dochowującego wiary wyraźnym przepisom nie podlegającego wątpliwości Boga.

Do tej pory istniały trzy wyraźne europejskie szkoły architektury. Powiadam europejskiej, ponieważ architektura azyatycka i afrykańska należą do tak całkowicie odmiennych ras i klimatów, że nie może być o nich tutaj mowy; mimochodem jeno upewniam was, że cokolwiek jest dobrego lub wielkiego w Egipcie, Syryi lub Indyi, jest dobre lub wielkie z tych samych powodów, jakie działały po naszej stronie Bosforu. My, Europejczycy, mieliśmy trzy wielkie religie: grecką, która zasadzała się na czi Boga mądrości i potęgi; średniowieczną, która była czią Boga sądu i pociechy, i religię odrodzenia, która była czią Bóstwa pychy i piękności; te trzy mieliśmy — ale należą one do przeszłości; — a teraz my, Anglicy przynajmniej, posiadamy czwartą religię i swego własnego Boga, o którym pragnę właśnie pomówić, ale wprzód muszę scharakteryzować te trzy dawne religie.

Powtarzam więc, że Grecy czcili głównie Boga mądrości tak, że cokolwiek występowało przeciwko ich religii, było dla Greków — *glupotą*.

Pierwszą grecką ideę o bóstwie stanowił bóg *dnia*, Jowisz objawiciel. Atena jest jego córka, ale szczególniej córką intelektu, wyskakującą z głowy w pełnej zbroi. Dopiero na podstawie najnowszych

badań zaczynamy przenikać całą głębokość znaczenia, przekazanego nam w symbolu Ateny; ale niech mi będzie wolno zaznaczyć pobieżnie, że jej aegis-plaszcz o węzowych frendzlach, w którym ją często w najlepszych posągach przedstawiają, jakoteż głowa Gorgony na tarczy, reprezentują przerażenie i smutek (zamieniające ludzi w kamienie) zewnętrznych tylko i powierzchownych sfer wiedzy—tej wiedzy, która w goryczy, zatwardziałości i smutku oddziela serce dorosłego człowieka od serca dziecka, gdyż z niedoskonałej wiedzy wypływają przestrach, spory, niebezpieczeństwo, wyniosłość; z doskonałej zaś wiedzy, dostarczonej przez Atenę, wypływają siła i uspokojenie, na znak których wieńczono ją gałązką oliwną i dawano w rękę śmiercionośną włócznię.

Takie więc było greckie pojęcie o najczystszej bóstwie, a każdy zwyczaj życia, każda forma sztuki rozwijały się z poszukiwania tej jasnej, pogodnej, nieprzepartej wiedzy; na niej opierając się, Grek usiłował być sprawiedliwym i silnym, bez gorącej afektacyi lub ostatecznej nadziei, ale z rezolutną i samorzutną energią woli. Wiedział bowiem, że nie ma pociechy na potknięcie się, nie ma odkupienia za grzech. To też architektura grecka wznosiła się nieomylną, jasną, świetlaną, jasno określona i zamknięta sama w sobie.

Drugą w Europie była wielka wiara chrześcijańska: to religia pociechy. Jej podstawową doktryną jest odpuszczenie grzechów; wskutek czego zdarza się bardzo często w pewnych fazach chrześcijaństwa, że grzech i choroba zostają otoczone częściowem uwielbieniem, tak jak gdyby lekarstwo stawało się tem-

bardziej boskie, im więcej ma do wyleczenia. Praktycznym rezultatem tej doktryny w sztuce jest ustawiczna kontemplacja grzechu i choroby, oraz imaginacyjnych stanów oczyszczania się z nich; tak więc posiadamy architekturę, pojętą w bezładnem uczuciu melancholii i tęsknoty, częścią surowem, częścią wybujałem, które nagnie się do każdej z naszych potrzeb i do każdej z naszych fantazyj, i będzie o tyle mocne lub słabe, o ile my sami jesteśmy silni lub słabi. Jestto najniższa ze wszystkich architektur, gdy mali ludzie tworzą ją — najszlachetniejsza ze wszystkich, gdy ją tworzą szlachetni.

Zważcie teraz, że obie te religie—grecka i średniowieczna — upadły wskutek sfalszowania swego głównego celu. Grecka religia wiedzy upadła wskutek fałszywej filozofii. Średniowieczna religia pociechy upadła wskutek fałszywego pocieszania; wskutek odpuszczania grzechów, udzielanego kłamliwie. Sprzedaż absolucyi położyła koniec wierze średniowiecznej; powiem wam więcej, że sprzedawanie absolucyi będzie aż po koniec czasu cechować fałszywe chrześcijaństwo. Czyste chrześcijaństwo udziela odpustu grzechów tylko po ich wyrzeczeniu się; fałszywe osiąga odpust przez przekupne zaniechanie dochodzenia. A istnieje wiele dróg do tego ostatniego sposobu. My, Anglicy, mamy różne piękne i spokojne sposoby kupowania odpustu, o wiele sprytniejsze od sposobów, używanych przez Tetzla.

Potem nastąpiła religia rozkoszy, w której cała Europa oddała się przyjemności, kończącej się śmiercią. *Bals masques* w każdym salonie, a giloty na każdym skwerze. Wszystkie te trzy systemy religij-

ne oblekły się w olbrzymie budowle: Grecy uwielbiali mądrość i zbudowali Parthenon — świątynię Dziewicy; świat średniowieczny wielbił pociechę i budował też świątynie dziewicze — ale naszej Królowej Zbawienia; ludzie wreszcie z czasów odrodzenia uwielbiali piękno swego gatunku i zbudowali Versailles, oraz Watykan. Możecie mi więc teraz powiedzieć, co *my* czcimy i co *my* budujemy?

Wiecie oczywiście, że mamy ustawicznie na myśli rzetelną, czynną, nieustającą i narodową religię, nie tę, o której się mówi przy śmierci; otóż my mamy nominalną religię, której składamy dziesięcinę z naszych posiadłości i siódmą część naszego czasu; ale posiadamy też obok niej drugą, praktyczną i poważną religię, której składamy w ofierze dziewięć dziesiątych tego, co posiadamy, i sześć siódmych naszego czasu. Rozprawiamy wiele o naszej nominalnej religii; ale jesteśmy zgodni na punkcie tej praktycznej, której kierującą boginię możnaby, według mego zdania, na które się zapewne zgodzicie, określić najlepiej jako „Boginię Powodzenia“ albo „Brytanię Rynku.“ Ateńczycy mieli bóstwo, zwane „Atena Agoraia“, czyli „Minerwa Rynku;“ ale był to niższy gatunek bóstwa, podczas gdy Britannia Agoraia jest głównym typem naszego bóstwa. Wszystkie wasze wielkie dzieła architektoniczne są oczywiście budowane dla niej. Dawno już nie wznieśliście żadnej katedry; a jakżebyście się śmieli ze mnie, gdybym zaproponował wybudowanie katedry na szczycie jednego z naszych wzgórz, zamieniając go na Akropolis! Lecz wasze kopce kolejowe, te nowoczesne masy Akropolisu; wasze stacje kolejowe, rozleglejsze

niż Parthenon i niezliczone wasze kominy, o ileż potężniejsze i kosztowniejsze są od katedralnych! wasze przystanie, wasze sklady i magazyny, wasze giełdy—wszystkie one wznoszone są dla waszej wielkiej bogini „Powodzenia“; ona to ukształtowała i będzie dalej kształtowała waszą architekturę, dopóki będziecie ją czcili; i napróżno pytacie mnie, jak macie budować, gdyż wiecie to lepiej odemnie.

Mogłaby zaiste istnieć jakaś dobra architektura dla giełd—gdyby z istnieniem giełdy łączyło się jakieś bohaterstwo, dające się typowo przedstawić na zewnętrznej stronie budynku, gdyż wszelka piękna architektura musi być ozdobiona rzeźbą i malarstwem; dla rzeźby zaś lub malarstwa trzeba mieć przedmiot. A dotąd było utartą opinią wśród narodów świata, że jedynym właściwym przedmiotem dla pierwszej lub dla drugiego, jest *bohaterstwo* jakiegokolwiek gatunku. Nawet na swych garnczkach i dzbankach Grek umieszczał Herkulesa, zabijającego lwa, albo Apollina, mordującego węże, albo Bachusa, unicestwiającego melancholijnych olbrzymów i ziemskie smutki. Na swych świątyniach Grek umieszczał walki wielkich wojowników przy zakładaniu miast, albo ich utarczki ze złymi duchami. Zarówno na swych domach, jak i świątyniach chrześcijanin umieszczał rzeźby, wyobrażające aniołów pokonywających szatanów; albo też bohaterów-męczenników, zamieniających ten świat na inny; przedmiot to, mojem zdaniem, nieodpowiedni dla projektowanej giełdy. A Mistrz Chrześcijan nie tylko nie dał swym wyznawcom żadnego zlecenia co do wyobrażenia w rzeźbie spraw giełdowych na zewnętrznej stronie budynków, lecz zazna-

czyli silny wstręt do procesów giełdowych w środku tychże budynków. A jednak mógłby tkwić heroizm w tych sprawach; cały handel stałby się sprzedażą synogarlic, nie zaś rzeczą drobną. Zawsze mocno się dziwiłem, że bohaterstwa nigdy nie łączono z procesem dostarczania ludziom pokarmu lub ubrania, ale raczej z praktyką kwaterowania się u ludzi dla zdobycia jada lub obdzierania ich ze sukien. Niszczenie zbroi jest czynem bohaterskim we wszystkich wiekach, ale sprzedaż ubrania, starego, czy nowego, nie miała nigdy barwy wielkoduszności. A jednakże trudno pojąć, dlaczego karmienie głodnych i odziewanie nagich miałyby stać się poziomą rzeczą, nawet gdy się ją prowadzi na wielką skalę. Gdyby udało się przyczepić do niej w jakikolwiek sposób pojęcie podboju, lub gdyby istniał jakiś uporczywy naród, wzbraniający się przed pocięciem tak, aby można się było pysznić udzieleniem mu przemusowej pocięty i, że tak powiem, „zajęciem kraju“ przy pomocy podarunków raczej, niżeli przy pomocy armii, to byłoby zaiste bohaterstwo. Albo gdyby uważano jako zwycięstwo tak samo zasianie ugoru, jak stratowanie łąnu i walczone zato, kto ma budować wsie, zamiast o to, kto je ma wojskiem zajmować, to byłoby też bohaterstwem. Czyż przy wykonywaniu tych pożytecznych czynów nie można wyobrazić sobie wszystkich form heroizmu? Wątpicie w to, kto jest najsilniejszy? Można przekonać się o tem przy pomocy łopaty równie dobrze, jak przy pomocy miecza. Kto jest najmędrzy? Trzeba także dowcipu do uplanowania innych przedsięwzięć niż bitwy. Kto najdzielniejszy? Zawsze trzeba walczyć z żywiołami silniejszymi od

człowieka, a równie litości pozbawionemi. Jedynym absolutnie bohaterskim rysem w pracy żołnierza zdaje się być to—że mało mu za nią płacą—i regularnie, podczas gdy wy, sklepikarze, giełdziarze, oraz inni, zajęci niby dobroczynnemi interesami, lubicie być dobrze zapłaceni za swój trud — i to okolicznościowo. Nigdy nie mogę pojąć, dlaczego błędny rycerz nie oczekuje zapłaty za swe trudy, gdy przeciwnie, domokrażca żąda jej; — że ludzie narażają się chętnie na ciężkie razy za nic, ale nie chcą sprzedawać tanio wstążek; — że gotowi są przedsięwziąć krucyaty dla odzyskania grobu pogrzebanego Boga, ale nigdy nie przedsięwzją żadnej podróży dla spełnienia przykazań żywego Boga;—że pójdą wszędzie boso, aby szerzyć swą wiarę, ale muszą być przekupieni na to, aby samym według niej żyć; że są gotowi rozdawać darmo Biblię, ale nie czynią tego z chlebem i rybą. Gdybyście się zdecydowali wziąć do rzeczy na jakiejś wojskowej zasadzie, to jest handlować i karmić ludy za stałym wynagrodzeniem i być równie skrupulatnymi w dostarczaniu ludziom najlepszego jada i najlepszych sukien, jak skrupulatnymi są żołnierze w dawaniu im najlepszego prochu strzelniczego, wtedy mógłbym wyrzeźbić na waszej giełdzie coś istotnie widzenia godnego; ale obecnie mogę poddać jedynie myśl ozdobienia jej fryzu wiszącemi sakiewkami i rozszerzenia u dołu jej słupów dla wsuwania banknotów. W najskrytszych jej pokojach może znajdować się posąg Brytanii Rynku, która mogłaby mieć kuropatwę na hełmie, jako symbol odwagi w walce za szlachetne idee, jako też jej interesowania się grą giełdową; naokoło szyi umieściłbym w złotych gło-

skach napis: „Perdix fovit quae non peperit“. Potem, zamiast włócznie, dałbym jej wrzeczono, na tarczy zaś zamiast krzyża milanezyjskiego odyńca, z właściwym miastem Genezaret w polu i napisem „Na najlepszym targu“; stanik mógłby być skórzany, sfałdowany na sercu w postaci sakiewki o trzydziestu szparach, aby wrzucać w nią każdego dnia w miesiącu jedną sztukę monety. Wtedy nie wątpię, że ludzie przychodziliby oglądać waszą giełdę i przyklasnęliby jej z serca.

Ale pragnę jeszcze wytknąć pewne dziwne cechy tej waszej bogini! Różni się ona zasadniczo od wielkich bóstw greckich i średniowiecznych w dwóch rzeczach: po pierwsze, pod względem trwania swej przypuszczalnej władzy, a po drugie pod względem jej rozciągłości.

Pierwsze, co do jej trwania grecka bogini mądrości sprawiała ustawiczny wzrost wiedzy, zarówno jak chrześcijański duch pociechy ustawiczny wzrost pociechy. Nie było w nich mowy o granicy lub ustaniu działalności. Ale w waszej Bogini Rynku to właśnie kwestya najważniejsza. Iść naprzód—ale dokąd? Nagromadzać—ale ile? Czy zamierzacie zawsze zbierać, a nigdy nie wydawać? Jeżeli tak, to winszuję wam waszej bogini, bo ja mam się tak samo dobrze, jak wy, bez trudu oddawania jej czci. Ale jeżeli wy nie wydacie, uczyni to ktoś inny — ktoś inny musi wydać. I oto właśnie z tego powodu (pomędzy innymi) oświadczyłem bez trwogi, że wasza tak zwana nauka ekonomii politycznej wcale nie jest nauką, ponieważ zaniechała zbadania najważniejszej gałęzi swojej—to jest sztuki wydawania. Boć

ostatecznie musicie wydać, i to tyle, ileście wytworzyli. Zbieracie zboże:—czyż zagrzebiecie Anglię pod kupą ziarna, lub też czy po zbiorach spożyjecie je nakoniec? Zbieracie złoto—czy zrobicie z niego dachy swych domów, lub czy wybrukujecie niem swe ulice?

To także jest sposób zużycia go. Ale zachowując go, możecie zdobyć jeszcze więcej — ja dam wam więcej; dam wam wszystko złoto, którego zapragniecie—wszystko, jakie sobie możecie wyobrazić—jeżeli mi tylko powiecie, co zamierzacie z niem zrobić. Posiadzicie tysiące sztuk złota;—tysiące tysięcy—miliony—góry całe złota; gdzież je będziecie trzymać? Czyż nasypiecie Olimp ze srebra na złoty Pelion — przy którym Ossa będzie wyglądała jak brodawka? Czyż sądzicie, że deszcz i rosa spływałyby na was strumieniami z takich gór z większem błogosławieństwem, niżeli spłyną z gór, które Bóg zrobił dla was ze mchu i granitu? Ale wy nie chcecie nagromadzać złota! Cóż więc? może banknoty? nie, i to nie. Cóż to więc jest—może zera po jedyńce? Czy nie możecie ćwiczyć się w pisaniu zer i pisać tyle, ile się wam podoba? Piszcie zera co rano przez godzinę i powiedzcie sobie co wieczór: jesteśmy bogatsi o te wszystkie zera, których nie mieliśmy jeszcze wczoraj. Czy to nie wystarczy? Zatem, czegoż sobie życzyacie w imię Plutona? Nie złota, nie banknotów, nie zer po jedyńce? Zmuszeni będziecie powiedzieć: „Nie; pragniemy tak, czy inaczej *wartości* pieniędzy.“ Ba, a cóż to jest? Niech wasza Bogini Powodzenia oświadczy to i niech się nauczy obstawać przy tem.

Ale musimy postawić jeszcze drugie pytanie, odnoszące się do Bogini Powodzenia. Pierwsze odnosiło się do trwania jej władzy; drugie dotyczy jej zakresu.

Pallas i Madonna były Palladą i Madonną całego świata. Mogły one uczyć wszystkich ludzi i mogły też wszystkich ludzi pocieszać. Ale zajrzyjcie uważnie w naturę władzy waszej Bogini Powodzenia a znajdziecie, że jest ona Boginią — nie powodzenia każdego człowieka — ale tylko czyjogoś powodzenia. Oto zasadnicza różnica. Zbadajcie ją w swym własnym idealnym stanie życia narodowego, które ta właśnie Bogini ma stworzyć i podtrzymywać. Będąc tu ostatnim razem, pytałem was o ten ideał, aleście mi nie odpowiedzieli. Czyż mam spróbować dania tej odpowiedzi?

Sądzę więc, że waszym ideałem ludzkiego życia jest spędzenie go w kraju lekko falistym, rozciągającym się nad pokładami żelaza i węgla. Na każdym stoku tego milego świata ma być piękny dworek o dwóch skrzydłach, ze stajnią i wozownią, i park średnich rozmiarów, wielki ogród z cieplarnią i przyjemne drogi powozowe wśród zarośli.

W dworku mają mieszkać faworyzowani czciciele Bogini: angielski dżentelman ze swą wdzięczną połowicą i swą piękną rodziną, zawsze zdolny mieć buduar i klejnoty dla żony, piękne suknie balowe dla córek, konie do polowania dla synów, a dla siebie samego polowanie w górach. U stóp stoku ma być młyn, nie mniej niż ćwierć mili długi, o machi-

nie parowej na każdym końcu i o dwóch w środku, o kominie trzysta stóp wysokim. W tymże młynie ma być nieustannie zajętych od ośmiuset do tysiąca robotników, którzy nigdy nie piją i nigdy nie strejkują, chodzą do kościoła i zawsze wyrażają się językiem pełnym szacunku.

Czyż nie jest to, zgruba biorąc i w głównych zarysach, rodzaj upragnionego przez was życia? Piękny to zaiste ideał, widziany z góry; wcale nie tak ładny, widziany z dołu. Zważcie bowiem, że gdy dla jednej rodziny bóstwo to jest istotnie Boginią Powodzenia, to dla tysiąca jest przeciwnie Boginią Niepowodzenia. Bynajmniej—powiadacie—wszak one wszystkie mają swoje szanse. — Zapewne, ale taką samą szansę posiada każdy w loteryi, a zawsze musi być ta sama ilość pustych biletów. — Tak, ale w loteryi zdolność oraz inteligencya nic nie znaczą, tylko ślepy traf.—Cóż z tego! Czyż sądzicie, że stara zasada, iż „ci winni brać, którzy mają siłę, a ci utrzymać, którzy mogą,” jest mniej niesłuszna, gdy siła stała się siłą mózgu zamiast pięści, i że chociaż możemy nie korzystać ze słabości kobiety lub dziecka, to jednak ciągniemy zyski z głupoty mężczyzny? — Ależ ostatecznie praca musi być zrobiona, jeden zaś musi być u góry, a drugi u dołu.—Przypuśćmy, że tak, moi przyjaciele.

Praca musi być zawsze; i kapitanowie pracy muszą też zawsze istnieć; i jeżeli choć odrobinę przypominacie sobie ton moich pism, musicie wiedzieć, że są uważane za nieodpowiednie dla tego wieku, ponieważ nastają na potrzebę rządu, a z szyderstwem odzywają się o wolności. Ale proszę was o zazna-

czenie, że jest ogromna różnica pomiędzy spełnieniem obowiązku zarządcy pracy a pobieraniem zysków.

Z tego, że ktoś jest generałem armii, nie wynika, aby miał sobie zabrać cały skarb albo ziemię, które zawojował (gdy walczy o skarby lub ziemię), ani też nie wynika z tego, że ktoś jest królem narodu, ażeby spożywał wszystkie zyski z pracy swego narodu.

Rzeczywiści królowie odznaczają się odwrotnie wprost temu przeciwnem postępowaniem, t. j. przywłaszczaniem sobie możliwie najmniejszej części pracy narodowej. Niema innego, bardziej nad ten nieomylnego dowodu rycerskości.

Powiecie mi, że nie potrzebnie piorunuję przeciwko temu, ponieważ nie jestem w stanie nic naprawić. Zapewne, moi przyjaciele, że nie mogę; ale wy możecie i naprawicie, albo co innego zdoła to uczynić za was. Czy sądzicie, że te zjawiska pozostaną na zawsze w swem obecnym stadium? Przeciwnie, cały rozwój historyczny wskazuje, że jest to właśnie sprawa całkiem niemożliwa. Zmiana przyszć *musi*; ale w naszej mocy postanowić, czy zmiana rozwoju, czy śmierci. Czy Parthenon ma się zamieścić w ruinę na swej skale, a opactwo Bolton na swej łące, a wasze młyny stać się koroną budynków na ziemi, ich koła zaś jakby kołami wieczności?

Myślicie może, iż „ludzie mogą przychodzić i ludzie mogą odchodzić,” ale młyny idą wiecznie? Nie jest tak; czeka nas lepsza lub gorsza przyszłość; od was zależy wybór.

Wiem, że nic z tego złego nie robi się rozmyśl-

nie. Rzeczywiście wiem, że życzyście swym robotnikom dobrze; że czynicie dla nich wiele i że pragniecie czynić dla nich więcej, gdyby wam jeno wskazano pewną do tego drogę. Wiem, że wielu z was zrobiło i robi codziennie to, co uważa, że leży w ich mocy, i że nawet wszystko zło i nędza są wynikiem wypaczonego zmysłu obowiązku, ponieważ każdy z was usiłuje postępować jak najlepiej, nie zważając, że to najlepiej jest głównie najlepszem dla niego, nie dla innych. A wszystko to jest wypływem rozszerzenia tej trzykrotnie przekłetej, trzykrotnie bezbożnej doktryny współczesnego ekonomisty, że „czynić najlepiej dla siebie samego, to ostatecznie czynić najlepiej dla innych.”

Przyjaciele, nasz wielki Mistrz nie uczył tak; i znajdziemy bezwarunkowo, że nasz świat nie jest tak zbudowany. Zaiste czynić najlepiej dla innych, to ostatecznie czynić najlepiej dla siebie samych; ale nie wystarczy mieć na to oczu skierowanych. Nawet poganie wyszli po za to. Posłuchajcie, co o tej rzeczy mówi poganin, posłuchajcie, jakie były ostatecznie już zapewne pisane słowa Platona — jeżeli nie rzeczywiście ostatecznie, jakie napisał (bo tego nie możemy wiedzieć), to bądź co bądź jego słowa pożegnalne — w których usiłował dać koronę i harmonijne zakończenie swym wszystkim myślom i zsumować je w jedno zdanie, lecz życie nagle uleciało, a słowa przerwane raz na zawsze przestały zupełnie płynąć.

Jest to zakończenie dyalogu, nazywanego się „Critias,” w którym opisuje częścią z rzeczywistej tradycyi, a częścią z idealnego marzenia pierwotny

stan Aten, jako też powstanie, urządzenie i religię bajecznej wyspy Atlanty; w genezie swej przedstawia on tę samą pierwotną doskonałość i ostateczne zwyrodnienie człowieka, jaką nasza biblijna tradycja wyraża określeniem, że synowie Boga pożenili się z córkami człowieka, gdyż przypuszcza, że pierwotna rasa była istotnie złożona z dzieci Boga, które dotąd ulegały zepsuciu, aż wreszcie „ich siedziba nie była siedzibą jego dzieci.“ I taki, powiada on, był koniec, że „przez wiele generacyi, dopóki natura Boska tkwiła w nich jeszcze, poddawali się kornie świętym prawom i odnosili się z miłością do wszystkiego, co było im pokrewne w boskości; najwewnętrzniejszy duch ich był pelen wiary, rzetelności i w każdym kierunku wielki, tak, że z całą łagodnością rozumu traktowali siebie nawzajem i całe życie, a gardząc wszystkim, z wyjątkiem cnoty, nie troszczyli się wiele o to, co ich w ciągu dnia spotkać może, i *znosili lekko* ciężar złota, oraz posiadania; widzieli bowiem, że skoroby tylko ich ogólna miłość i cnota wzrastały, wszystko to wzrosłoby równocześnie; obdarzać szacunkiem i ubiegać się o materyalne posiadanie znaczyłoby po pierwsze utracić i to posiadanie, a następnie i cnotę i afekt. Drogą takiego postępowania i na fundamencie tego, co im jeszcze z boskiej natury pozostało, osiągnęli całą wielkość, o jakiej już mówiliśmy; ale gdy boska część ich natury zwiędła i zaniknęła, podlegając ustawicznemu krzywowaniu i niszczeniu pod wpływem śmiertelności, ludzka zaś natura wzięła górę, wtedy stali się niezdolni do znoszenia zmienności losu; popadli w złe życie i poniżenie w oczach tego, który patrzył, stra-

ciwszy to wszystko, co było najpiękniejszym w ich honorze; tymczasem ślepych sercem, które nie mogły odróżnić prawdziwego życia, dążącego do szczęścia, zdawało się, że oni byli głównie wtedy szlachetni i szczęśliwi, będąc pełni niesłusznego posiadania i siły, wskutek czego Bóg Bogów, którego królestwo jest w prawach, widząc naród kiedyś sprawiedliwy tak pogrążony w nędzy i życząc sobie spuścić na niego taką karę, któraby zniewoliła go do opamiętania się, zgromadził wszystkich bogów w swym pałacu, dominującym ze środka nieba nad całem stworzeniem, a zebrawszy ich, rzekł:—Reszty niema.— Tak kończą się ostatnie słowa głównej mądrości pogan, wygłoszonych o tym bożku bogactw, który jest waszym bożkiem; o tym złotym obrazie niezmiernie wysokim, a umieszczonym tam, gdzie zielone pola Anglii zostały zupełnie spalone przez liczne piece fabryczne; o tym bożku, zakazanym dla nas przed wszystkimi bożkami, zakazanym przez Mistrza i wiarę, zakazanym przez każde ludzkie usta, które kiedykolwiek były uważane za zdolne do przemawiania w imię Boga.

Czyńcie w dalszym ciągu to zakazane bóstwo swem bóstwem, a niebawem ani sztuka, ani nauka, ani przyjemności nie będą możliwe. Katastrofa nadejdzie, albo gorsze od katastrofy powolne pleśnienie i dążenie ku Hadesowi. Ale jeżeli zdołacie ustalić jakieś pojęcie o prawdziwym ludzkim życiu, do którego należy dążyć — równem życiu dla innych ludzi i dla was samych, jeżeli potraficie określić jakiś uczciwy i prosty sposób egzystencji — to wtedy cała wasza sztuka, literatura, dzienne zajęcia, uczucia do-

mowe i obowiązki obywatelskie połączą się i utworzą wspaniałą harmonię.

Wtedy będziecie wiedzieli, jak budować, będziecie budowali kamieniem dobrze, ale ciałem jeszcze lepiej; wzniesiecie świątynię nie zrobioną dłońmi, lecz stworzoną z serc; a taki rodzaj marmuru o karmazynowych żyłkach jest zaiste wiecznotrwałym.

ODCZYT III.

W o j n a.

(Wygłoszony w Królewskiej Akademii Wojskowej
w Woolwich).

Młodzi żołnierze! Nie wątpię, że wielu z was przyszło tu dzisiaj niechętnie, a wielu z pełnej pogardy ciekawości, aby usłyszeć, co piszący o malarstwie może powiedzieć, czyli ośmielić się powiedzieć odnośnie do waszej wielkiej sztuki wojennej. Myślicie sobie w głębi duszy, że malarz może bez zarozumiałości wyklądać młodemu malarzom o malarstwie, ale nie młodemu prawnikom o prawie, albo młodemu lekarzom o medycynie — tem mniej zaś młodemu żołnierzom o wojnie. To też istotnie gdy mnie proszono o wykład dla was, odmówiłem pierwotnie i odmawiałem długo, ponieważ czułem, że wy nie zainteresujecie się moją specjalnością, a przytem pomyślicie sobie, że nie było potrzeby, abym przychodził uczyć was waszej specjalności. Ba, nawet sądziłem, że nie powinno być takiej potrzeby, ponieważ weterani wojskowi w Anglii są ludźmi pod każdym wzglę-

dem tak myślącymi, tak szlachetnymi i tak dobrymi, iż nie potrzeba wam niczego ponad ich rycerski przykład lub ponad kilka słów ich poważnej i doświadczonej rady, którąbyście mogli przyjąć bez żadnej wiary.

Ale będąc proszonym nie raz i nie dwa, nie śmiałem odmawiać tak uporczywie; to też spróbuję w kilku słowach objaśnić was, dlaczego powinniście przyjąć moje tłumaczenie i wysłuchać mnie cierpliwie. Może się wam zdawać, że praca wasza jest zupełnie obca i różna od mojej pracy. W rzeczywistości zaś wszystkie czyste i szlachetne sztuki pokojowe opierają się na wojnie; nigdy jeszcze nie powstała na ziemi wielka sztuka gdzieindziej, jak wśród żołnierskiego narodu. Nie powstanie sztuka u narodu pasterskiego, dopóki trwa w pokoju. Nie powstanie sztuka u ludu rolniczego, dopóki trwa w pokoju. Handel zaledwie znosi się ze sztuką piękną, ale nie jest w stanie wytworzyć jej. Rzemiosło zaś nie tylko nie jest w stanie jej wytworzyć, ale nieodmiennie niszczy wszelkie jej zarody. Wielka sztuka możliwa jest tylko w narodzie, opierającym swój byt na bitwach.

Jakkolwiek spodziewam się, że lubicie walkę dla samej walki, to zapewne musicie być zdziwieni mem twierdzeniem, że walka może wydawać takie dobre owoce. Przypuszczaliście zapewne, że funkcją waszą jest obrona dzieł pokoju, ale nie ich wytwarzanie; co więcej, mogliście sądzić, że zwyczajny przebieg wojny niszczy je. I zaiste, ja sam, który wam mówię o tych korzyściach wojny, byłbym ostatnim z ludzi, któryby wam mówił tak, gdybym jeno miał się opierać na własnym doświadczeniu. Dlaczego?

Poświęciłem znaczną część swego życia badaniu malarstwa weneckiego; wynikiem tego badania było zatrzymanie uwagi na człowieku, największym ze wszystkich Wenecyan, a zarówno, mojem zdaniem, największym ze wszystkich malarzy wogóle. Wyrobiłem sobie tę wiarę (słuszną, czy fałszywą, to obecnie rzecz obojętna) w supremacyę Tintoreta pod dachem, pokrytym jego malowidłami; z malowideł tych trzy najszlachetniejsze były w stanie zupełnej ruiny, bo poszarpały je trzy austriackie granaty. Otóż nie każdy prelegent mógłby wam powiedzieć, że widział swe trzy ulubione obrazy poszarpane przez kule na szmaty. A patrząc na taki widok, nie każdy prelegent powiedziałby wam mimo to, że wojna była źródłem każdej wielkiej sztuki.

A jednak nieodzownie trzeba wyciągnąć taki wniosek z porównania stanów wszystkich historycznych narodów, w jakich się różnemi czasy znajdowały. Aby wam pokazać, jak to rozumiem, naszkicuję przed wami pobieżnie w szerokich zarysach rozwój najlepszej sztuki na ziemi. Pierwszy jej brzask widziany w Egipcie; potęga jej opiera się na nieustannej kontemplacyi śmierci, oraz przyszłego sądu, jakiej oddawał się naród, którego panującą kastą byli kapłani, a drugą z rzędu wojownicy. Największe przez nich stworzone dzieła, to rzeźby ich króli, wyruszających na bitwy, lub przyjmujących hołd pokonanych armij. Powinniście także pamiętać jako o jednym z wielkich źródeł świetności narodu egipskiego, że kapłani zajmowali się nie tylko teologią. Teologia ich była podwaliną praktycznego rządu i prawa, tak, że nie tyle byli kapłanami, ile raczej sędziami religij-

nymi: urząd Samuela wśród żydów odpowiadał mniej więcej ich stanowisku.

Wszystkie więc początki sztuki, a więcej niż początki wszelkiej wiedzy zostały stworzone przez ten wielki naród wojowników, który pogardzał wszelkiem rzemiosłem mechanicznym, a nienawidził wprost spokojnego życia pasterskiego. Z Egiptu sztuka przechodzi prosto do Grecyi, gdzie wszystka poezya i wszelkie malarstwo nie są niczem innym, jak opisem, pochwałą lub dramatycznym wyobrażeniem wojny lub ćwiczeń, do wojny przygotowujących, a zostających w związku z praktykami religijnymi. Wszystkie greckie instytucje odnosiły się przedewszystkiem do wojny; a pojęcie jej, jako niezbędnej czynności całego ludzkiego i boskiego życia, wyraża się poprostu w obrazach ich głównych bóstw. Apollo jest bogiem wszystkich władz intelektu; dzierży łuk i strzały wprzód, nim weźmie do ręki lirę. Atena zaś jest boginią wszelkiej mądrości praktycznej. Ale helm i tarcza prędzej niż wrzeciono odróżniają ją od innych bóstw.

Istniały atoli dwie ogromne i zasadnicze różnice między grecką a egipską teorią polityczną. W Grecyi nie było kasty wojskowej, bo każdy obywatel był z konieczności żołnierzem. Następnie, jakkolwiek Grecy słusznie pogardzali sztukami mechanicznymi, tak samo jak i Egipcyanie, to jednak nie popełnili fatalnego błędu, polegającego na pogardzie życia rolniczego i pasterskiego; obydwaj bowiem rodzaje życia wysoko poważali. Te dwie cechy zdrowszej myśli wnoszą ich na najwyższy stopień mądrości, jaki dotąd wogóle ludzkość osiągnęła, gdyż wszystkie może wielkie

sztuki i niemal wszystkie wielkie myśli zostały od nich zapożyczone, bo od nich pochodzą. Odbierzcie nam to, cośmy od nich wzięli, a trudno sobie nawet wyobrazić, jak nisko stałby współczesny Europejczyk.

Przechodząc do następnej fazy historycznej, winicie pamiętać, że chociaż potrzeba wojny dla wytworzenia sztuki—potrzeba jeszcze czegoś więcej niż wojny, a mianowicie instynktu dla sztuki, czyli geniuszu, tkwiącego w narodzie, i że cały talent do malarstwa nie robi z was malarzy, chociaż posiadacie zdolności wojenne, jeżeli nie posiadacie równocześnie zdolności artystycznych. W następnej wielkiej dynastji żołnierskiej instynktu dla sztuki brak całkowicie. Nie zbadałem jeszcze charakteru Rzymian na tyle, aby wam powiedzieć przyczynę tego; wierzę atoli, jakkolwiek się to może wydawać wam paradoksalnem, że jakkolwiek Rzymianin ma prawo mówić, iż pochodzi od Marsa i że ssał wilczyce, to jednak w gruncie rzeczy był więcej farmerem, niżeli żołnierzem. Ćwiczenia wojenne były u niego praktyczne, ale nie poetyczne; poezya jego tkwiła jedynie w życiu domowem, a celem walki *pacis imponere morem*. Sztuki też nikną w rękach Rzymianina i nie podnoszą się powtórnie aż dopóki razem z gotyckim rycerstwem nie zrodziło się powtórnie w umysłach europejskich zamiłowanie wojny dla niej samej. Wtedy to razem z romantycznym rycerstwem, nie mogącym pojąć innego szlachetnego rzemiosła—pod walczącymi królami Francji, Anglii i Hiszpanii, jakoteż pod wojowniczymi księstwami i municypalnościami Włoch sztuka rodzi się znów i wznosi się do wyżyny na wielkich

równinach Lombardyi i Toskanii, przez które nie przepływa ani jeden strumień, biorący początek w Alpach lub Apeninach, któryby nie zaczerwienił się krwią, w bitwach przelaną; punktu kulminacyjnego zaś dosięga w mieście, które dało historii najdzielniejszy typ żołnierza, jaki istniał kiedykolwiek — w mieście, którego armie prowadził do boju ich król i prowadził do zwycięstwa, chociaż sam był niewiasty i w bardzo późnym wieku.

Od tego zaś czasu w miarę, jak pokój powstaje i rozszerza się w Europie, sztuki upadają. Dosiągają niesłychanego stopnia kosztowności, lecz tracą swą żywotność i w końcu stają po stronie zbytku i korupcyi, a wśród zupełnie spokojnych narodów więdną całkowicie; częściowo pozostają tylko wśród ras, które, jak Francuzi lub my, zachowały jeszcze usposobienie żołnierskie, jakkolwiek nie wszyscy mogą być żołnierzami.

„Może tak być istotnie,“ zechce zapewne zawołać filantrop: „Niech więc giną sztuki, jeżeli mogą kwitnąć za taką cenę tylko. Cóż są warte zabawki z płótna i kamienia w porównaniu z radością i spokojem życia domowego pozbawionego sztuki?“ Odpowiedzią na to jest: istotnie, same w sobie nic. Ale jako wyraz najwyższego stanu ducha ludzkiego, mają wartość nieskończoną. Jako wyniki mogą być bez wartości, ale jako objawy są nieocenione. Ponieważ nie ulega wątpliwości, że gdziekolwiek zdolności ludzkie występują w całej pełni, tam *muszą* wyrazić się w sztuce, a powiedzieć, że państwo jest bez tych objawów, to znaczy powiedzieć, że spadło z właściwego poziomu męskości. Tak więc mówiąc wam,

że wojna jest fundamentem wszystkich sztuk, rozumieć także, iż jest fundamentem wszystkich wysokich cnót i zdolności ludzkich.

Dziwnem było dla mnie to odkrycie i straszne—lecz widziałem, że to fakt nie ulegający wątpliwości. Przekonałem się, że nie ma podstawy powszechne przekonanie, iż pokój i cnoty życia cywilnego rozwijają się pomyślnie razem. Tylko pokój i występki życia cywilnego kwitną równocześnie. Mówimy o pokoju i nauce, o pokoju i dostatku, o pokoju i cywilizacyi; znalazłem atoli, że nie są to słowa, które muza historyi zestawiała z sobą; na ustach jej bowiem były słowa — pokój i zmysłowość, pokój i samolubstwo, pokój i zepsucie, pokój i śmierć. Krótko mówiąc: znalazłem, że wszystkie wielkie narody nauczyły się prawdy słowa i potęgi myśli w wojnie; że wojna karmiła je, a pokój niszczył, że wojna uczyła je, a pokój zdradzał;—słowem, że rodziły się w wojnie, a wyziończyły ducha w pokoju.

Ale zanotujcie sobie starannie, że nie można tego powiedzieć o *każdej* wojnie — nie o wszystkich zębach smoczycy, które posiane wydadzą zbrojnych ludzi. Nie można tego powiedzieć o spustoszeniu barbarzyńskiego stada wilków pod Genzerykiem; ani o nałogowym niepokoju i wojowniczości górali, jak to było na dawnej granicy Szkocyi, ani o okolicznościowych zapasach silnego, ale pokojowego narodu, broniącego swej egzystencyi, jakiemi były wojny Szwajcaryi z Austryą; ani o walce ambitnych narodów o rozszerzenie władzy tylko, jak to było w wojnach francuskich pod Napoleonem, lub w świeżo skończonej wojnie amerykańskiej. Żadna z tych form

wojny nie stworzy niczego innego, oprócz grobów. Twórcza zaś wojna to ta, w której wrodzony duch niepokoju i zamiłowanie do walki wśród ludzi zamienia się za ogólną zgodą w rodzaj pięknej — choć może zgubnej — zabawy, w której wrodzona ambicya i zamiłowanie władzy zamienia się na zwycięski podbój otaczającego zła, i w której wrodzony instynkt samoobrony znajduje uświęcenie w szlachetności instytucyj i czystości ognisk domowych, których ma bronić. Do takiej wojny wszyscy ludzie są zrodzeni, w takiej wojnie każdy człowiek może umrzeć szczęśliwie, i z takiej to wojny w ubiegłych wiekach wyrastały wszystkie najwyższe świętości i cnoty rodzaju ludzkiego.

Wobec tego więc, co powiedziałem, wojnę, o której mam do was mówić, podzielę na trzy klasy: wojnę dla ćwiczenia, czyli zabawy; wojnę dla podboju i wojnę dla obrony.

I.

Naprzód więc pomówimy o wojnie dla ćwiczenia, czyli zabawy. Traktuję ją w tem świetle głównie dlatego, że przez ciąg całej historii wojna była wśród klas, które ją wywoływały i proklamowały, więcej rozrywką, aniżeli czemkolwiek bądź innem. Ale nie jest to igraszka dla konskrybowanego lub żeglarsza; żaden bowiem z nich nie dał przyczyny do wojny. Dla rządcy, który ją postanawia, i dla młodzieży, która robi ją dobrowolnie swoim rzemiosłem, wojna taka była i będzie zawsze pyszną rozrywką, uprawianą głównie dlatego, że nie mają nic innego

do roboty. I to jest święta prawda, bez żadnego wyjątku. Żaden król, zupełnie zajęty rozwojem wewnętrznych zasobów swego królestwa, lub jakim innym wystarczającym przedmiotem myśli, nie wdawał się w wojnę bez przymusu; żaden młodzieniec, zajęty poważnie spokojnymi studjami, lub jakąś pożyteczną działalnością, nie zostawał żołnierzem dobrowolnie. Zajmij go wcześniej i rozumnie rolnictwem lub handlem, nauką lub literaturą, nie pomyśli o wojnie inaczej jak o kłęsce. Ale pozwól mu tylko próżniaczyć, a wtedy im dzielniejszy, czynniejszy i bardziej uposażony jest od natury, tem więcej będzie pragnął jakiegoś określonego pola działalności i tem bardziej znajdzie w gorączce i niebezpieczeństwie bitwy jedyne zadowalające zajęcie dla swej rwącej się do czynu istoty. Od samych początków cywilizacji aż do dnia dzisiejszego cała ludność ziemi dzieli się, z grubsza biorąc, na dwie klasy: pracowników i bawiących się—uprawiających ziemię, zajętych przemysłem, budujących, oraz na inne sposoby zdobywających środki do życia—i dumnych próżniaków, potrzebujących nieustannie rozrywki, w której używają klas produktywnych, i pracujących częścią jako bydło, a częścią jako maryonетки i pionki w śmiertelnej zabawie.

Pamiętajcie, że cała cnota i zaleta, jakie mogą tkwić w grze wojennej, sprawiedliwie granej, nikną, gdy do gry wprowadzamy całe masy małych ludzkich pionków.

Jeżeli wy, szlachta tego, czy innego królestwa, chcecie zrobić sobie rozrywkę z zapasów, to nikt wam tego nie broni, bawcie się; ale nie ustawiajcie

nieszczęśliwych włóściń — pionków na szachownicy zieleniących pól. Jeżeli zakład idzie o śmierć, ściągajcie ją na swoje, a nie na ich głowy. Na uczciwą walkę w pyle olimpijskim, choćby to był pył grobowy, bogowie chętnie będą spoglądali i sympatyzowali z wami; ale nie staną po waszej stronie, gdy siadacie na bokach amfiteatru, którego stopniami są góry ziemi, areną zaś doliny, zmuszając miliony włóściń do gladyatorskich zapasów. Wy także, czułe i delikatne kobiety, dla których i z rozkazu których wybuchnąć musi każda walka, wy doznałybyście może teraz przykrości na myśl o przyglądaniu się jak królowe turniejowi, mogącemu zakończyć się śmiercią. O ileż zatem więcej przykrości winnyście doznawać na myśl o pójściu do amfiteatru, gdzie kilku biednych niewolników morduje się dla waszej przyjemności. Czyż nie wzdrylicie się na myśl o zasiadaniu w teatrze, na którego scenie mordują się nie na śmierć skazani niewolnicy, lecz najlepsi i najdzielniejsi synowie ludu—i to nie w pojedynczej walce—człowiek z człowiekiem—jak gladyatorowie, lecz w zbiorowej walce narodów całych, w pojedynku pokoleń? Powiecie mi może, że wy nie przyglądacie się temu; istotnie prawdą jest, że kobiety Europy—które nie widzą swego własnego interesu sercowego w niebezpieczeństwach walki, zasłaniają kotary swych łóż i zatykają ich otwory, tak, że ze sceny mordu może dolecieć ich tylko chwilami napół dosłyszany krzyk i pomruk, jakby poświst wiatru w chwili, gdy tysiące dusz opuszcza ciała. Zatykają uszy przed śmiertelnymi okrzykami, i czują się szczęśliwe i wiodą z sobą dowcipne rozmowy.

Oto jak dosłownie spędzają nasze damy swe przyjemne żywoty.

W obronie ich występując, moglibyście odeprzeć:— „Nie powodujemy tych wojen dla naszej rozrywki, ani wskutek niedbalstwa; nie możemy wprost im zapobiedz. Jakże spory narodów mogą być inaczej rozstrzygane, niż za pomocą wojen?” Nie mogę teraz odbiegać od przedmiotu i uczyć was, jakby inaczej spory polityczne mogły być rozstrzygane. Ale zgódźmy się, że nie może być inaczej. Zgódźmy się, że narody nie mogą pojąć praw rozumu; że nie mogą poddać się przepisowi sprawiedliwości i że podczas, gdy sprawa o kilka akrów lub o drobną kwotę pieniężną może być rozsądzona na podstawie prawdy i słuszności, to sprawy, mające się kończyć zatrąą lub ocaleniem królestw, mogą być rozsądzone tylko logiką miecza i słusznością armaty. Zgódźmy się na to, ale i wtedy osądźcie, czy będzie zawsze rzeczą konieczną zaszczeniać wasze spory w serca biedaków i podpisywać traktaty krwią włościan? Wstydzilibyście się czynić to samo w zakresie waszych prywatnych stosunków. Dlaczegoż więc nie macie się wstydzić czynienia tego w zakresie spraw publicznych? Gdy się spieracie ze swymi sąsiadami, a spór nie może być sądownie rozstrzygnięty, przytem jest śmiertelny, to przecie nie posyłacie swych lokajów, aby się za was bili; ani też nie podpalacie chat swych dzierżawców i nie niszczyacie ich mienia. Załatwiacie spór pomiędzy sobą i sami narażacie się na niebezpieczeństwo. Nie przypuszczacie wcale, aby na sprawę wpływał fakt, że jeden posiada większe domostwo niż drugi, tak, że gdyby słudzy i dzierżawcy wyszli

w pole razem ze swymi panami, to wynik walki nie mógłby być wątpliwym. Albo odrzucacie pojedynk, albo odbywacie go według praw honoru, nie zaś według praw siły fizycznej, aby w ten sposób spór do pewnego stopnia sprawiedliwie zakończyć. Otóż sprawiedliwy lub niesprawiedliwy wynik prywatnego sporu nie ma wielkiego znaczenia, podczas gdy sprawiedliwy lub niesprawiedliwy wynik publicznego sporu posiada wieczne znaczenie; a jednak w tym publicznym sporze bierzecie synów swych sług z ich objęć, aby walczyli oń, i odejmujecie pokarm od ust waszych sług, aby go podtrzymywać; czarne pieczęcie na pergaminach waszych traktatów pokojowych, to porzucone ogniska domowe i bezplodne pola. Tak w tem, jak i w powszechnych zbrodniach, tkwi jakiś ponury komizm. Posłuchajmy, co myśli o tem największy z angielskich myślicieii:

„Jakiż, mówiąc całkiem nieurzędowym językiem, jest cel i wynik wojny? O ile wiem, to żyje i pracuje w brytańskiej wiosce Drumdrudge około pięćset dusz. Z tych pewni, naturalni wrogowie Francyi wybierają po kolei w czasie wojny z Francją, powiedzmy trzydziestu do noszenia broni zdolnych mężczyzn. Drumdrudge wykarmiło ich i wychowało własnym kosztem; nie bez trudu i zmartwienia wyżywiło ich do wieku męskiego i wykształciło ich w rzemiosłach tak, że jeden umie prząść, drugi budować, inny kuć, a nawet najsłabszy udźwignąć znaczny ciężar. Mimo to wśród płaczu i klątw wybierają ich; wszystkich ubrano czerwono, wywieziono na okrętach na publiczny koszt o jakieś dwa tysiące mil, albo powiedzmy tylko na południe Hiszpanii.

gdzie są żywieni aż do chwili, kiedy będą potrzebni.

Do tegoż samego miejsca w południowej Hiszpanii zdąży trzydziestu podobnych francuskich rzeźmiśników z jakiegoś francuskiego Dumdrudge, aż w końcu po nieskończonych trudach obie partye stanę naprzeciwko siebie; trzydziestu staje naprzeciwko trzydziestu, a każdy ma karabin w ręku.

Nagle rozlega się słowo—ognia!—i oto wystrzelują sobie nawzajem dusze ze swych ciał, a w miescie sześćdziesięciu rzeźkich, pożytecznych robotników, pozyskał świat sześćdziesiąt martwych ciał, które musi pogrzebać i oplakać. Czyż ci ludzie mieli z sobą jaką sprzeczkę? Najmniejszej nawet nie mieli; ba, nawet w tak rozległym świecie pomagali sobie wzajemnie drogą handlu.

Stanowczo więc, moi panowie, gry w bitwę nie należy ostatecznie uprawiać w ten sposób. Ale czy należy uprawiać w jakikolwiek sposób wogóle? Jeżeli nie przez waszych służących, to czy winna być uprawiana przez was samych? Sądzę, że tak. Zarówno historia, jak i instynkt ludzki zdają się odpowiadać na to pytanie twierdząco. Wszyscy zdrowi mężczyźni lubią bić się i lubią się narażać; wszystkie dzielne kobiety lubią słyszeć o ich walkach i o ich wystawianiu się na niebezpieczeństwa. Jest to stały instynkt u subtelnych ras; i trudno mi uwolnić się od myśli, że honorowa walka jest odpowiednią dla nich zabawą i że turniej był lepszy od polowania na koniu.

Zarówno we Francyi, jak i u nas, może nastać

pora ogólnego polowania z przeszkodami i krokietą; ale nie zdaje mi się, aby w krokiecie mogły się ujawnić najlepsze cechy szlachty obydwóch narodów. W sprawie tej zastosowuję próbę, opierającą się na związku między wojną a sztukami, i zastanawiam się nad tem, jakiego uczucia doznawałbym jako rzeźbiarz, gdyby mi polecono wystawić w Westminster Abbey pomnik dla zmarłego rycerza, z młotkiem w jednej, a bilą krokietową w drugiej ręce. Może być, że są to u mnie jeno resztki dzikiego gotyckiego przesądu; lecz jabym wolał go wyrzeźbić z tarczą po jednej a mieczem po drugiej stronie. Uczyniłbym to bez względu na przywiązaną do postaci zmarłego opowieść o spełnionym obowiązku lub obronie dobrej sprawy.

Przypuśćmy, że ów rycerz wyjechał sobie okolicznościowo tylko, aby pobić się ze swym sąsiadem dla wprawy; przypuśćmy, że był on tylko awanturnikiem i że zdobywał sobie chleb, oraz napełniał sakiewkę przy pomocy miecza. Mimo to doznaję takiego wrażenia, jak gdyby szlachetniej z jego strony było zdobywać swój chleb zabawą wojenną, aniżeli jakąkolwiek inną zabawą; o wiele wolę, aby rąbał, aniżeli zakładał się. O wiele jest lepiej, ażeby ujeżdżał wojenne rumaki, aniżeli konie wyścigowe; wreszcie—a mówię to poważnie i z rozmysłem—o wiele bardziej wolę, ażeby zabił swego sąsiada, aniżeli oszukiwał go.

Ale pamiętajcie, że o ile to może być prawdą, odnosi się jedynie do zabawy w wojnę, w której *osobista siła ludzka* przejawia się w całej pełni przy władaniu orężem.

A to mianowicie, z trzech powodów:

Po pierwsze wielkiem uświęceniem tej zabawy jest fakt, że gdy jest dobrze grana wykazuje, kto jest *najlepszym człowiekiem* — kto jest najwyżej urodzonym, najzdolniejszym do zaparcia się, najbardziej nieustraszonym, kto ma najmocniejsze nerwy, najszybsze ramię i najpewniejsze oko. Nie można wypróbować tych właściwości całkowicie, dopóki nie nasunie się możliwość walki na śmierć lub życie. Tylko przy takim narażaniu się można w całej pełni wypróbować człowieka, jego duszę i ciało. Możesz oddać się zabawie w bramki, przeszkody lub karty, a mimo to cała tkwiąca w tobie nikczemność pozostanie nieujawniona.

Ale gdy zabawa może się skończyć każdej chwili pchnięciem lancy, człowiek uczyni zapewne mały obrachunek wprzód, zanim zaangażuje się w nią. Wszystko, co w nim złe i zgniłe, osłabi jego dłoń bardziej przy wojowaniu mieczem, aniżeli kijem bilardowym; a na ogół biorąc, zwyczaj lekkomyślnego życia wobec nieustannie grożącej śmierci, miał i zawsze mieć musi skłonność zarówno do tworzenia, jak i doświadczenia uczciwych ludzi. Gdy nam chodzi o rozstrzygającą próbę, to wynik walki musi zależeć od szlachetności ciała i pewności ręki. Wynik nie może zależeć od tego, kto z walczących ma najdłuższą armatę, albo kto ustawił się za najgrubszym drzewem, albo kto ma wiatr w twarz, lub komu najlepszy chemik sfabrykował proch strzelniczy, komu żelazo wytopiono przy najlepszym węglu, lub kto ma wreszcie za sobą najzacieklejszy tłum. Rozstrzygajcie wasze bitwy, czy to między narodami, czy mię-

dzy jednostkami, w ten sposób, a tylko powiększy-
cie zamieszanie i dodanie rzeź do braku słuszno-
ści. Ale rozstrzygajcie bitwy za pomocą wyprobo-
wania, kto ma najsilniejszą ramię lub najdzielniejsze
serce — a postawicie stanowczy krok w kierunku
rozstrzygnięcia wielu rzeczy ubocznych i to słuszne-
go rozstrzygnięcia.

Inne zaś okoliczności, przemawiające za tym
sposobem rozstrzygnięcia sporów, to zmniejszenie zaró-
wno spustoszenia i kosztu, jak i fizycznych cierpień.
Nie sądźcie, że wygłaszając przed wami tę fantasty-
czną (jak możecie przypuszczać) pochwałę bitew,
przeoczyłem to wszystko, co przemawia przeciwko
mnie.

Wszystkich, którzy jeszcze nie czytali, upraszam
o przeczytanie z wyteżoną uwagą dwóch szkiców
Helpsa o Wojnie i Rządzie, drukowanych w pierw-
szym tomie ostatniej seryi „Przyjaciół w narodzie.”

Wszystko, co można podnieść przeciwko
wojnie, zostało tam wyrażone prosto, wyczerpująco
i obrazowo. A wszystko, co podniesiono, jest
prawdą. Ale dwa wielkie zarzuty, uczynione wojnie
przez tego wielce myślącego pisarza, odnoszą się je-
dyndie do współczesnej wojny. Jeżeli trzeba odrywać
masy ludzi od zajęć przemysłowych—karmić ich pra-
cą innych — zaopatrywać ich w zabójcze maszyny,
ulegające niemal codziennie zamianie wskutek cywiliza-
cyi narodów, jeżeli trzeba plądrować najechany kraj
i zniszczyć na dziesiątki lat jego drogi, lasy, miasta
i zatoki, i jeżeli nakoniec, postawiwszy twarz w twarz
masy ludzi, liczące setki i tysiące, rozrywacie te ma-
sy na szmaty przy pomocy kartaczy, zostawiając fra-

gumenty żywych istot po za pomocą chirurgiczną na to, aby w strasznej torturze ginęły z głodu i pragnienia—to jakaż księga rachunkowa zapisze koszta waszej roboty, jakiż kodeks osądzi waszą winę?

To, powtarzam, jest współczesna wojna—uczona wojna—chemiczno-mechaniczna wojna, gorsza od zatrutej strzały dzikiego. A jednak zechcecie mi może powiedzieć, że inny rodzaj wojny jest dziś wprost niemożliwy. Być może; postęp nauki nie da się, być może, zapisywać inaczej, jak nowemi pomysłami destrukcyjnemi, a braterska miłość chrześcijańska udowodniać tylko wzrastającym mordem. Ale słuchajcie przez chwilę, czem wojna była w czasach pogańskiej ignorancyi i czem jeszcze wojna stać się może, gdyby się nam udało zmierzyć naszą czarną naukę i połączyć pogańską praktykę z chrześcijańską teorią.

Przeczytam wam ustęp z książki, którą każdy z was zapewne zna dobrze, a którą wszyscy znać powinni, to jest z Müllera „Dorians;“—zestawiłem ze sobą bliżej te punkty, które chcę, aby wam utkwily w pamięci.

„Główną charakterystyką wojowników spartańskich był wielki spokój i okielznana siła; gwałtowność Aristodemusa, oraz Izadasa uważano raczej jako naganną, niż pochwały godną; cechy te, ogólnie biorąc, odróżniały Greków od północnych barbarzyńców, których dzielność polegała zawsze na wrzawie i zamieszaniu. Z tej samej racyi Spartanie *składali zawsze ofiary muzom* przed rozpoczęciem akcji; oczekiwano po tych bóstwach, że utrzymają regularność i porządek w bitwie; *przy tej samej sposobności na*

Krecie składali ofiarę bogu miłości, jako sprawcy wzajemnego szacunku i poważania. Każdy z mężczyzn wkładał wieniec, gdy orkiestra, z flecistów złożona, dawała sygnał do ataku; wszystkie tarcze w szeregu połyskiwały swym silnym blaskiem, którego świetność mieszała się z purpurą płaszczy, mających zarówno ozdabiać walczących, jak i ukrywać krew zranionych; jedną więcej pobudkę do heroicznej dzielności była chęć upaść na placu boju dobrze i ładnie. Zachowanie się Spartan w bitwie zdradzało piękne i szlachetne usposobienie, odrzucające wszelką krańcowość brutalnego szału.

„Pościg za nieprzyjacielem ustawał po dokonaniem zwycięztwie, a gdy rozległ się sygnał do odwrotu, kroki wojenne ustawały.

„Łupienie broni, przynajmniej podczas bitwy, było zakazane, a ofiarowanie bogom łupów, wziętych na poległym nieprzyjacielu, jak wogóle wszelką radość z odniesionego zwycięztwa, uważano za złą wróżbę.“

Tak przedstawiała się wojna największych pogan żołnierzy, modlących się do pogańskich bogów. Czem jest chrześcijańska wojna, głoszona przez chrześcijańskich mistrzów, niech wam powie ten, co widział święte wieńczenie się i słyszał święte dźwięki fletu, i co doznał natchnienia lub uświęcenia pod wpływem boskiego i muzycznego języka któregośkolwiek z północno - amerykańskich pułków, gotujących się do ataku. Jaki zaś jest względny koszt w życiu wojen pogańskich a chrześcijańskich, niech was pouczy ten jeden fakt: Spartanie wygrali rozstrzygającą

bitwę koryncką ze stratą ośmiu ludzi; zwycięzcy z pod Gettysburga przyznają się do straty 30,000 ludzi.

II.

Przechodzę obecnie do drugiego rodzaju wojny, najzwyczajszej wpośród ludzi, to jest podejmowanej w chęci zdobycia nowych posiadłości. Pozwólcie mi poprosić was, ażebyście się zastanowili przez chwilę, jakie jest rzetelne znaczenie tego pragnienia panowania naprzód w umysłach królów, potem w umysłach narodów.

Przedewszystkiem rozważcie, że mówię bądź to o królach, bądź o masach ludzi, z tem niezachwia-
nem przekonaniem, że natura ludzka jest rzeczą szlachetną i piękną, nie zaś nikczemną i szpetną; wszystkie grzechy ludzkie uważam za chorobę, a nie za stan normalny, jako szaf, któremu można zapobiedz, a nie konieczność, na którą trzeba się zgodzić. A kiedy sprawy biorą nawet najgorszy obrót, to dziwię się zawsze, jak znacznej wyżyny może dosięgnąć natura ludzka. Uważając ją za wzniosłą, znajduję ją zawsze jeszcze wznioślejszą, niż sądziłem, gdy przeciwnie ci, którzy uważają ją za niską, znajdują ją zawsze niższą, niż przypuszczali; w rzeczywistości jest ona nieograniczona i zdolna do nieskończonego wznoszenia się lub nieskończonego upadku; ale istotą jej i tu jest owa wiara, którą chciałbym wam wszczepić, istotą jej jest szlachetność, a nie nikczemność.

Weźcie tę wiarę w jej ostatecznej konsekwencji. Gdy kapitan okrętu „Londyn” uściskał ręce ofi-

cerowi, mówiąc: — Niech cię Bóg prowadzi! ja pójdę na dno morza z pasażerami—to według mnie, okazał „ludzką naturę,” nie zrobił tego z żadnych pobudek religijnych, z żadnej nadziei nagrody lub obawy kary; uczynił to poprostu jako człowiek. Ale gdy matka, mieszkająca wśród pięknych pól wesołej Anglii, pozwala swemu dwuletniemu dziecku udusić się pod materacami wewnątrz izby, podczas gdy sama stoi i rozmawia nazewnątrz, to według mnie okazała się nieludzką matką.

Macie tu krótko zestawione dwa krańce. A wy, mężczyźni i kobiety, znajdujący się tu ze mną twarz w twarz, powiedzcie mi, który z tych postępków jest ludzki, który zaś nieludzki—który „naturalny,” a który „nienaturalny?”

Zaklinam was, wybierzcie niezwłocznie swą wiarę — wybierzcie ją bez wahania — wybierzcie raz na zawsze. Czy jako podstawę czynów i nadziei wybieriecie wiarę, że ów kapitan był takim, jakim go Bóg stworzył, czy że matka była taką, jaką ją Bóg stworzył? które z nich sprzeniewierzyło się swej naturze — swej obecnej istocie i naturze; nie swej dawnej, lecz swej obecnej naturze? które z nich zdradziło ją i sfalszowało? Czy opiekun, który zginął na posterunku, umarł nie po ludzku, jak głupiec, albo czyż morderczyni swego dziecka spełniła prawo swego istnienia? Wybierajcie, powtarzam; od tego zależy cała nieskończoność wyborów. Mielicie wśród siebie fałszywych proroków — mieliście ich przez wieki — chociaż ostrzegano was przed nimi uroczyście; mieliście fałszywych proroków, którzy wmawiali w was, że wszyscy są szatanami albo szakalami, nawpół

bydłętami, nawpół dyablami. Uwierźcie w te słowa, a zaiste możecie upaść do tego poziomu.

Ale odrzućcie te słowa i wierźcie, że Bóg „stworzył was sprawiedliwymi,” chociaż poczyniliście wiele wynalazków; wtedy codzień będziecie dążyć do stania się czemś więcej, niż chciał lub chce wasz Stwórca, dając wam siłę do stania się czemś lepszym — a będziecie się coraz bardziej wznosić ku szlachetności i dźwizżyć się cnoty, która jest w was, mówiąc: „Sprawiedliwości swej trzymam się mocno i nie opuszczę jej.“

Dałem wam wolny wybór, tak jak gdybyście mogli się przechylać na którąkolwiek stronę. Ale w rzeczywistości niema dla was wyboru, fakty bowiem łatwo można sprawdzić. Nie potrzebujecie wcale myśleć o rzeczy, albo czynić wyboru. Bo faktem jest, że istota ludzka, najwyższego gatunku i najdoskonalsza w swym rodzaju, jest niewątpliwie dobra i rzetelna, i że obniżając gatunek, otrzymujemy okrucieństwo i fałsz, zarówno jak i zniekształtnienie, a to tak stale i tak pewnie, że dwa wielkie słowa, które pierwotnie oznaczały tylko doskonałość rasy, stały się oba wskutek niezmiennego łączenia cnoty z subtelną naturą ludzką nazwami dobrotliwego usposobienia.

Słowo szlachetny i słowo delikatny, obadwa pierwotnie znaczyły tylko „czystej rasy,” ale ponieważ miłosierdzie i łagodność są nieodłączne od tej czystości krwi, słowa, ongi oznaczające pychę, stały się dziś synonimami cnoty.

Czy sądzicie, że myśleć i działać bodajby za milion ludzi, słyszeć ich skargi, strzedz ich słabości,

opanowywać ich występki, stanowić dla nich prawa, prowadzić ich, dzień w dzień, do lepszego życia, to nie dosyć pracy dla jednego człowieka? Gdyby którykolwiek z nas był absolutnym panem jednego tylko okręgu, wynoszącego sto mil kwadratowych i postanowił działać dla niego jak może najlepiej—tak, aby mógł wyżywić jak największą ilość ludzi, aby każda grudka ziemi stała się urodzajną, każda skała obronna, a każda ludzka istota szczęśliwą, to czyż nie sądzicie, że miałby dosyć pracy i trudów? Ale gdy władający ma inne, niż ten, cele, gdy nie dbając o wynik swego mieszania się w sprawy, pożąda tylko władzy do interwencji, i gdy bez względu na to, czy rzecz została źle lub dobrze wykonana, troszczy się o to jedynie, aby ją na jego rozkaz spełniono — jeżeli woli raczej popełnić występki na dwustumilowej przestrzeni, niżeli dobry czyn na stumilowej przestrzeni, to oczywiście będzie się starał o rozszerzanie swego terytorium i to bez żadnych granic.

Ale czy w ten sposób rozszerza swą władzę? Czy nazwalibyście władzę w dziecku, gdyby mu pozwolono bawić się kołami i transmisyami jakiegoś ogromnego motoru parowego, bawiącego zgrzytem i świstem tak długo, aż jedno nierozsądne dotknięcie sprowadziłoby ruinę całej maszyny? A jednak jakąż maszyna jest tak wielka i tak trudna do poznania, jak umysł narodu?

W dalszym ciągu rzeczy zważcie, że ta prawdziwa potęga, potęga ratunku, nie polega ani na mnóstwie ludzi, ani rozległości terytorium. Ustawicznie przyjmujemy, że siła narodu pozostaje w prostym stosunku do jego liczebności. Dzieje się tak istotnie

jeżeli ta znaczna liczba da się przejąć ideą jednomyślności, ale z kąd pewność, że uda się utrzymać wszystkich w jednej opinii, a powstrzymać od rozdzielenia myśli? A przypuściwszy, że się staną jednomyślnymi, z kąd pewność, że będą takimi w sprawiedliwości? Jeżeli staną się jednomyślni w złem, to im więcej są takimi właśnie, tem są słabsi. Albo przypuścmy, że nie mogą oni być ani jednej myśli, ani dwóch myśli, lecz poprostu całkiem bezmyślni? Przypuścmy, że to tylko bezradny motłoch, posuwający się szybko ku katastrofie, na podobieństwo wozu, naładowanego kamieniami, gdy mu się koło złamie. Motłoch taki jest niewątpliwie niebezpieczny dla swych sąsiadów, ale zgoła nie „potężny“.

Siła nie zależy tak samo od rozległości terytorium, jak i od liczby zaludnienia. Weźcie do ręki mapy—wróciwszy do domu dziś wieczorem—umieśćcie kupkę wysp brytańskich obok wielkiej masy Południowej Ameryki, a potem zapytajcie, czy jakkolwiek naród powinien troszczyć się bardzo o to, ile ziemi zajmuje? Siła tkwi w ludziach, w ich jedności i cnocie, a nie w zajmowanej przestrzeni; mała grupka rozumnych serc jest lepsza od lasu głupców.

A teraz wyciągnijmy z tego wszystkiego krótki wniosek praktyczny. Pamiętajcie, że ostatecznie żaden rząd nie jest silny inaczej, jak tylko w stosunku do swej dobroci i sprawiedliwości, i że naród nie wzmacnia się przez rozmnażanie się i rozpraszenie. Jak dotąd, nie wzmocniliśmy się przez rozmnożenie się w Ameryce. Ba, nawet i wtedy, kiedy naród nie staje wobec ruchu emigracyjnego, to nie powinien pysznić się rozmnażaniem się na swej własnej

ziemi, jeżeli rozmnaża się tylko tak, jak muchy, albo szarańcza. Pomnaża swą siłę tylko wzrastając jakby jedna wielka rodzina w doskonałej spójni i braterstwie, wreszcie nie rośnie w siłę drogą rozszerzania panowania nad narodami, którym nie może przynieść żadnej korzyści.

Austria nie wzmocniła się, lecz osłabiła zajęciem Lombardyi, i jakkolwiek przybyło nam z objęcia Indyi pozornego majestatu i bogactwa, to kwestya czy okażą się one dla nas ostatecznie mocą, czy słabością, zależy w zupełności od stopnia, do jakiego wpływ nasz na miejscową rasę okaże się dobroczynnym i podniosłym. Lecz o ile jakiś naród z własnym narażeniem się rozciąga swoje panowanie z prostego pragnienia władzy, o tyle jeszcze z większym narażeniem się wzdraga przedsiębrać zaczepną wojnę, w stosunku do swej siły, ilekroć razy jest pewien, że jego autorytet byłby pomocny i żeby mógł udzielić ochrony.

Nie powinniście słuchać sofistycznych zarzutów odnośnie do niemożności poznania, kiedy pomoc jest potrzebna, a kiedy nie. Oczyśćcie swe sumienie narodowe, a wasz wzrok narodowy wkrótce się rozjaśni. Żaden człowiek, który rzeczywiście gotów jest wziąć udział w szlachetnej walce, nie będzie wahał się długo nad tem, kto lub w jakiej sprawie potrzebuje jego pomocy. Uważam sobie za obowiązek nie wygłaszać obecnie żadnego wyznania wiary politycznej; ale powiem wam tylko śmiało, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat my, Anglicy, straciliśmy nasze ostrogi, jako naród rycerski: walczyliśmy bowiem tam, gdzieśmy walczyć nie powinni byli, a to z pro-

stego wyrachowania i dla zysku, a znów biernie zachowywali się tam, gdzie się nie byli powinni biernie zachowywać, i to z obawy.

Powiadam wam, że zasada nieinterweniowania, tak jak ją teraz głoszą między nami, jest tak samo egoistyczna i okrutna, jak najgorszy szaf zaborczy, a różni się od niego nie tylko złośliwością, lecz i tchórzostwem.

Wiem, że opinie moje o tym przedmiocie różnią się zanadto od opinii powszechnie panujących, abym je miał wam narzucać; dlatego też przechodzę w końcu do zbadania warunków trzeciego rodzaju szlachetnej wojny — wojny prowadzonej w obronie kraju, w którym urodziliśmy się i dla utrzymania, oraz wykonywania jego praw, bez względu na to, kto mu grozi. Sądzę, że większość ludzi, wstępujących do armii, poczuwa się wistocie do tego obowiązku, to też pragnę obecnie, abyście się razem ze mną zastanowili, jakie są przepisy samoobrony i jaki obowiązek żołnierza, jak się go teraz pojmuje. Postanowiliście uroczyście być angielskimi żołnierzami dla obrony Anglii. Chcę, abyście odczuli, jakie jest właściwe znaczenie tego waszego ślubu.

Po raz pierwszy czynicie go, będąc jeszcze sentymentalnymi uczniami szkolnymi; udajecie się do wojskowego zakonu, albo do baraków zupełnie tak samo, jak dziewczyna udaje się do zakonu, kiedy jest jeszcze w wieku sentymentalizmu; żadne z was nie wie jeszcze wtedy, o co wam właściwie chodzi, jakkolwiek dobrzy żołnierze i dobre zakonnice wyzyskują wasze usposobienie w jak najlepszym kierunku.

Nie rozumiecie zapewne, dlaczego nazwałem was „sentymentalnymi“, kiedy wstępujecie do armii? Otóż dlatego, że na ogół biorąc, zamiłowanie do hazardu, podniecenia, ładnego stroju i pożądanie rozgłosu (a to są wszystko sentymentalne pobudki), skłaniają chłopca, żeby raczej wstąpił do służby wojskowej, niżeli do biura.

Wyobrażacie sobie może, iż surowe poczucie obowiązku łączy się z temi dziecinnemi pobudkami? U najlepszych z was jest tak istotnie, ale nie sądźcie, że to stanowi główny motyw. Gdybyście chcieli spełnić swój obowiązek względem kraju w sposób prozaiczny i niesentymentalny, to wierząc mi, że w naszych czasach większym obowiązkiem jest zbierać żniwo, niżeli niszczyć je; większym obowiązkiem budować domy, niżeli palić je — zdobywać pieniądze własną pracą i w ten sposób pomagać ludziom, niżeli opodatkowywać pracę innych, aby za pobrane pieniądze zabijać ludzi; wreszcie większym obowiązkiem jest uczciwie i niesamolubnie żyć, niżeli uczciwie i niesamolubnie umierać, chociaż to ostatnie jest w waszych młodzieńczych umysłach najdzielniejszą rzeczą. O ile więc dla własnego honoru i honoru waszych rodzin przekładacie bohaterską śmierć w czerwonym mundurze nad bohaterskie życie w czarnym surducie, o tyle jesteście sentymentalni; a teraz spojrzycie, do czego prowadzi ten wasz uczuciowy ślub. Z początku jeździecie konno, polujecie na tygrysy albo dzikich, strzelacie i padacie od strzałów, jesteście zawsze szczęśliwi i dumni, czczeni i opłakiwani w razie śmierci; czujecie zadowolenie z waszego życia i jego zakończenia; naogół biorąc, wierzycie, że inni osiągną

z tego więcej zysku, niżeli szkody, a wy samą tylko przyjemność.

Lecz w miarę, jak pojęcie obowiązku zaczyna się krystalizować w waszych umysłach, ślub przybiera inny charakter. Przychodzicie do przekonania, że oddaliście się w ręce waszego kraju jako broń. Ślubowaliście uderzyć na jego rozkaz i schować miecz w pochwę, jeżeli taka będzie jego wola; wszystko, za co odpowiadacie, to pewność ręki. Tkwi w tem zapewne i dobroć i wielkość, o ile możecie zaufać i ręce i sercu Britomarka, który przytwierdził miecz do waszego boku...

Ale pamiętajcie, że chociaż stan ten może być dobrym i szlachetnym, to jednak jest stanem niewoli. Różne są rodzaje niewoli i różni właściciele. Jednych zapędza do pracy chłosta, drugich krewkość lub ambicya, mniejsza o to, jakiej natury jest bat; niemniej jest batem, chociaż rzemienie wycieliście z własnych dusz; istotą niewoli jest fakt, że człowiek zaprzęga się do bezmyślnej pracy na cudzy rozkaz. Jednych niewolników kupuje się pieniędzmi, drugich pochwala. Przy pomocy czego dokonywa się kupna, to rzecz całkiem obojętna; znamienym rysem niewoli jest posiadanie ceny i sprzedawanie się za nią. I wszystko jedno, do jakiej was pracy zaprzęgna: jednych niewolników zaprzęgają do kopania, innych do forsownych marszów; tych do wykopywania rowów, tamtych do wykopywania grobów. Jedni wyciskają sok trzcinowy, drudzy winogronowy, a jeszcze inni wysączają krew ludzką.

Jakkolwiek owoce pracy mogą być różne, rzecz pozostaje całkiem niezmieniona.

Ślubując zostać niewolnikiem jakiegokolwiek pana, powinniśmy się naprzód zastanowić nieco nad tem, do jakiej pracy może nas ewentualnie użyć. Sądzicie zapewne, że bierność jest jedynym obowiązkiem żołnierza, że kraj, który pozostawiliście za sobą, ma prawo posyłać wam rozkazy, których wy macie jeno słuchać. Ale czyście pewni, żeście pozostawili cały kraj po za sobą, albo że część, w ten sposób, pozostawiona, jest najlepszą częścią?

Przypuśćmy — a to przecie łatwe do pojęcia — że wy sami jesteście właśnie najlepszą częścią Anglii; że wy, którzyście się stali niewolnikami, powinniście być panami, a że ci, którzy są panami, powinni być niewolnikami.

Jeżeli macie spełnić rozkaz szlachetnej Anglii, to dobrze, ale jeżeli wy jesteście jej sercem, Anglia zaś, którą pozostawiliście za sobą, tylko pół-sercem, to cóż powiecie wtedy o swem posłuszeństwie? Byliście za dumni na to, aby stać się kramarzami, czyż więc przyjemnie wam zostać sługami kramarzy? Za dumni byliście na to, aby samym zostać kupcami lub rolnikami; czyż więc chcecie mieć kupców i farmerów feldmarszałkami? Uważacie się za wojsko Anglii, a jakież byłoby wasze uczucie, gdybyście znaleźli, że jesteście tylko policją jej miast fabrycznych?

Jeszcze tak nie jest i ufam, że nie będzie nigdy; ale co wam chcę pokazać i o czem zapewnić to o tem, że ideałem wojskowości nie jest bierne posłuszeństwo i dzielność; że żaden kraj nie znajduje się w zdrowym stanie, jeżeli nawet w małym stopniu oddzielił swą władzę cywilną od wojskowej

Wszystkie państwa świata, jakkolwiek wielkie, upadają; natychmiast, skoro tylko zaczną używać wojsk najemniczych, chociaż jest to łagodniejsza forma błędu (ponieważ nie zabarwiona tchórzostwem narodowym), to jednakże nie mniej jest błędem fatalnym—specjalnie zaś błędem naszych czasów, którego wszystkich groźnych następstw jeszcze znać nie możemy, polegającym na pojmaniu najlepszej krwi i siły narodu, tego wszystkiego, co jest dzielne, a nie stoi o wynagrodzenie, kpi z bólu i dochowuje wiary; polegającym na pojmaniu tego wszystkiego i zakuciu w stal—jako też obróceniu na prosty miecz, polegającym na pozbawieniu głosu i woli najlepszej, a oszczędzaniu najgorszej części narodu—tchórzliwej, chciwej, zmysłowej i wiarołomnej — aby dać jej głos i autorytet i główny przywilej, kiedy posiada ona właśnie najmniejsze potemu uzdolnienie.

Wypełnienie waszego ślubu bronięcia Anglii nie stanie się bynajmniej poparciem takiego systemu. Nie jesteście prawdziwymi żołnierzami, jeżeli zamiarem waszym jest tylko stać przy drzwiach sklepu i ochraniać subiektów, którzy oszukują. Żołnierz ślubuje umrzeć za ochronę domowych cnót swego kraju, jego słusznym praw, jego podrażnionego lub na szwank wystawionego honoru.

Państwa bez cnoty, bez praw, bez czci, nie jest obowiązany bronić; przeciwnie, naprawić własną dłońią to, co w niej widzi podłego. Tak surowem jest prawo natury i życia, że naród zupełnie skorrumpowany może odkupić jedynie despotyzm militarny — nigdy zaś jego własny, wolny wysiłek. Zdrowie każ-

dego państwa polega poproszu na tem, ażeby najrozumniejsi byli też najsilniejszymi, żeby jego władcy byli zarazem jego żołnierzami, albo raczej, aby siłą intelektu raczej, niżeli miecza, żołnierze stali się jego władcami. Wpływ, jaki arystokracja angielska wywiera na cały naród przez to, że przoduje mu zawsze w bitwach, nie utrwali się, jeżeli nie zechce mu też przodować myślą.

Jeżeli kiedykolwiek, to teraz właśnie myśli Anglii wymagają uwagi. Bo, czy wiecie na jakie myśli wpadła Anglia wreszcie wskutek tego pięknego podziału pracy (na mocy którego jej dzielni synowie walczą, a tchórze myślą)?

Oto urywek z gazety w mojem ręku, dobrej i uczciwej gazety—reprezentującej najlepszą myśl publiczną w tej chwili; w jednym ze swych artykułów wstępnych traktuje o naszym „dobrobycie społecznym“—o naszej „gorączce życia“—o politycznem zwierzchnictwie Wielkiej Brytanii. I jakże myślicie, czemu się to wszystko zawdzięcza? Może temu, co nasi przodkowie uczynili, lub czego nas nauczylili przez tyle wieków? Nie: nie temu. Może uczciwości waszego serca, albo trzeźwości głowy, albo stałości woli? Nie, i nie temu. Może naszym myślicielom, mężom stanu, poetom, generałom, męczennikom, lub cierplivej pracy biedaków? Nie, i nie temu, a przynajmniej nie temu głównie.

„Nie—powiada gazeta—więcej, niż jakikolwiek inny czynnik, taniość i obfitość węgla uczyniła nas tem, czem jesteśmy.“ Jeżeli tak, to „popiół do popiołu“ będzie naszym nagrobkiem! i im prędzej, tem lepiej?

Powiadam wam, dżentelmani Anglii, jeżeli kiedykolwiek chcecie widzieć wasz kraj oddechający znowu czystym oddechem nieba i przyjmujący w siebie ducha, zamiast gnijący i rozpadający się, wydęty kwasem węglowym (i w ten tylko sposób wielki), to musicie zarówno myśleć i czuć za Anglię, jak wszyscy bić się za nią; musicie nauczyć się, że prawdziwa wielkość, jaką kiedykolwiek dotąd osiągnęła lub jeszcze osiągnąć może, zdobyła wtedy, kiedy pola jej były zielone, a twarze jej dzieci zarumienione—że wielkość jeszcze jest dostępna dla Anglików, chociażby ziemia pod ich stopami nie była wyżłobiona, a firmament nad ich głowami czarny—i że gdy dla ich kraju nadejdzie czas złożenia swego honoru w pył, to jego flaga nie powieje wyżej dlatego, że to będzie pył węglowy. Dżentelmani, odzywam się do was uroczysto, że zbliża się dzień, w którym żołnierze Anglii staną się jej wychowawcami, a kapitanowie jej armii kapitanami jej myśli.

Pamiętaj więc, wojskowa młodzieży, która jesteś w ten sposób całą nadzieją kraju, albo musisz nią być, jeżeli kraj ma posiadać jakąkolwiek nadzieję; pamiętaj, że zdolność twa do spełnienia twego całego przyszłego zadania zależy od tego, czem jesteście obecnie.

Żaden żołnierz dobry w starszym wieku nie był niedbałym lub umyślowo leniwym w młodości. Niejeden bezmyślny chłopiec stał się dobrym biskupem, albo dobrym prawnikiem, albo wreszcie dobrym kupcem, ale nigdy taki chłopiec nie został dobrym generałem.

Wzywam was do pokazania mi w całej historii choć jednego żołnierza, któryby nie był poważnym i rozważnym w swej młodości. Nie toleruję wogóle ludzi, mówiących pobłaźliwie o bezmyślności „młodego wieku.“ Wolę raczej słyszeć o bezmyślnej starości i pobłaźliwości dla niej.

Gdy człowiek spełnił już swą pracę i nic już nie może w jego losie uleść istotnej zmianie, niechaj zapomni o trudach i żartuje ze swego losu, jeżeli tak chce; ale jakie usprawiedliwienie możecie znaleźć dla bezmyślności wtedy, kiedy cała przyszłość zależy od jednego postanowienia?

Młodzieniec bezmyślny, kiedy całe szczęście jego ogniska domowego zależy od jednej chwili; bezmyślny młodzieniec, gdy cała jego karyera zależy od jednego kroku; bezmyślny młodzieniec, gdy każdy jego czyn jest fundamentem przyszłego postępowania, a każda myśl źródłem życia lub śmierci!

Bądźcie bezmyślni kiedykolwiek, potem raczej, niż obecnie—jakkolwiek, zaiste, jest tylko jedno miejsce, w którym człowiekowi wolno być bezmyślnym—to jest śmiertelne łoże. Żaden proces myślenia nie powinien się odkładać aż do tej ostatniej chwili.

Postanowiwszy tedy, że nie będziecie trwonić lekkomyślnie, lecz używać poważnie tych waszych młodych lat życia, pamiętajcie, że wszystkie obowiązki dzieci Anglii względem jej ojczyzny można wyrazić w dwóch słowach: praca i honor.

Naprzód mówię: praca; ponieważ młodzież wojskowa szczególnie ulega pokusie szwankowania w tym kierunku. Czyż dlatego, że życie wasze może być przypuszczalnie krótsze od życia innych ludzi?

To nie racya, aby je lekkomyślniej od innych trwonić; ani też obowiązki waszego zawodu, którego wymagają ćwiczenia ciała, nie pociągają wcale zaniedbywania umysłu.

Przeciwnie, doświadczenia, trudy i czynności życia wyrabiają w żołnierzu silniejszą niż u innych władzę myślenia; a kiedy dla innych wiedza znaczy często nie wiele więcej niż rozrywka, dla żołnierza nie ma takiej wiadomości, któraby nie mogła odegrać w jego życiu bardzo ważnej roli.

Studentowi matematyki można wybaczyć niebaldstwo w studyowaniu krzywych, które znaczy się tylko ołówkiem, ale nie można wybaczyć niedbalstwa w studyowaniu krzywych, nakreślanych kulą armatnią. Znajomość zdrowej rośliny może pociągnąć za sobą wykarmienie armii, znajomość jakiegoś ciemnego punktu w geografii może rozstrzygnąć powodzenie kampanii.

Nigdy więc nie marnujcie ani chwili czasu; grzech próżniactwa jest tysiąc razy większym grzechem u was, niżeli u innej młodzieży, bo los tych, którzy znajdą się kiedyś pod waszymi rozkazami zależy od waszej wiedzy; obecnie stracone chwile mogą znaczyć na śmierć wystawione życia ludzkie, a każdą chwilę, obróconą na zabawę, kupujecie czyjaś krew.

Ale jest sposób marnowania czasu, ze wszystkich najnikczemniejszy, ponieważ przy jego pomocy marnujecie nie tylko czas, ale i energię waszego umysłu. Ze wszystkich niedżentelmańskich zwyczajów, w jakie możecie popaść, najbrzydszym jest zakładanie się lub interesowanie się wynikiem zakładów. Łączy on w sobie wszystkie niemal cechy szaleństwa

i występku; skupiacie bowiem uwagę waszą na kwestyi szansy, zamiast na rzetelnej wiedzy, a popieracie opinie, których nie macie czem poprzeć, chyba tym faktem, że to wasze opinie. Cała bezczelność egoizmu tkwi w tym fakcie, o ile zaś jeszcze zamiłowanie podniecenia łączy się z nadzieją wygrania pieniędzy, stajecie się najgorszym gatunkiem kupców — to jest kupców, żyjących ze spekulacyi. Gdyby za pracą nic innego nie przemawiało, jak tylko to, że chroni od tak skandalicznego występku, to jużby zupełnie wystarczało. Pracujcie uczciwie, a znajdziecie się w posiadaniu pełnego chwały szczęścia; nie takiego, jakie można zdobyć rącznością nóg końskich, lub stracić wskutek nierówności kuli.

Po pierwsze, przez pracę musicie spełnić swój ślub wobec ojczyzny; ale cała praca i poważne traktowanie życia okażą się nieużyteczne, jeżeli nie uświęci ich wasze postanowienie pozostania we wszystkim ludźmi honorowymi; nie honorowymi w zdawkowem pojęciu tego słowa, ale w najwyższem.

Oprzyjcie się na potężde dwóch głównych słów w wierszu: *integer vitae, scelerisque purus*. Ślubowaliście Anglii swe życie; oddajcie jej to życie w całości—czyste, nieskazitelne, doskonałe życie—rycerskie życie.

Dlatego, że dziś musicie walczyć maszynami, a nie lancami, to może z tego wynikać większe niebezpieczeństwo, niż dawniej, ale nigdy mniejsza wartość charakteru. Możecie być rzetelnymi rycerzami, chociaż nie nazywacie się *equites*; możecie się nazywać „artylerją“ zamiast „kawaleryą“, ale to nie racya,

dla której nie mielibyście się nazywać równocześnie rzetelnymi ludźmi.

Pierwsza rzecz, o jaką winniście się troszczyć jako żołnierze, to być rzetelnymi ludźmi. Odwaga jest rzeczą zwykłą wśród zwyczajnie dobrze wychowanej młodzieży; ale ani prawda, ani szlachetność nie są tak zwyczajne. Musicie się niemi opasać jak tarczami; musicie je wypisać sobie na sercach, chociaż nikt może nie wymagać od was, to jednakże wy sami wymagajcie od siebie tego ślubu nieskalanej prawdy. Serca wasze, jeżeli je zostawicie bez uprawy, będą jakby grobami, w których dobro leży pochowane.

Zamieńcie się na krzyżowców dla odzyskania tego świętego grobu, a pamiętajcie przede wszystkim, gdyż nic innego tak bardzo strzedz was nie będzie, że najwyższem prawem rycerskości są obowiązki względem kobiet. Kogokolwiekbyście oszukali, skrzywdzili lub zostawili bez pomocy, to nie wolno wam oszukać, skrzywdzić, lub zostawić bez pomocy, oczywiście odpowiednio do waszej mocy, żadnej kobiety na jakimkolwiek stanowisku w życiu. Wierzcie mi, że każda cnota wyższych form charakteru męskiego zaczyna się tutaj—w prawdzie i skromności wobec wszystkich dziewic; w prawdzie i liłości, albo w prawdzie i szacunku względem wszystkich kobiet.

A teraz niechaj mi wolno będzie zwrócić się na chwilę do was — kobiety i dziewice, które jesteście duszami żołnierzy, do was, matki, które poświęciłyście waszych synów wielkiej hierarchii wojskowej. Niech mi będzie wolno skłonić was do rozważenia, jak macie pomagać tym, którzy was kochają; bo jeżeli wy

zrobicie zawód i oni go uczynią; wy jesteście tak absolutnemi pomocnikami, że żaden mężczyzna nie może się ostać bez tej pomocy, ani też pracować o własnych siłach.

Znam wasze serca i wiem, że nigdy nie zawo-
dzą w chwili stanowczej próby. Ale nie wiecie, kie-
dy lub gdzie zaskoczy was ta stanowcza próba. Wy-
obrażacie sobie, że przeznaczeniem waszem jest tylko
czekać i cierpieć z poddaniem się. Wiecie, że wam
nie wolno osłabiać serc swych mężów i kochanków,
nawet tą jedną jedyną obawą, do jakiej ich serca są
zdolne, obawą rozłąki z wami, albo obawą zmartwie-
nia was w ciężkich latach rozłąki, w chwilach oczeki-
wania nieznanego losu; w dziesięciokrotnej goryczy
zmartwienia, które tak łatwo mogło stać się radością,
i w tęsknocie za życiem przedwcześnie zgazonem—
we wszystkich tych cierpieniach nie zawadzicie i nie
zawiedziecie.

Ale próba wasza nie w tem tkwi. Być boha-
terskiemi w nieszczęściu, to nic wielkiego;—wszak je-
steście Angielkami. Być heroicznemi w zmiennych
kolejach losu, to nic;—bo czyż nie kochacie? Zacho-
wać cierpliwość po bolesnej stracie, to nic, bo czyż
nie kochacie jeszcze i w niebie? Ale być heroiczne-
mi w szczęściu, zachowywać się poważnie i sprawie-
dliwie w olśniewającym blasku wschodzącego słońca;
nie zapomnieć o Bogu, któremu ufacie, kiedy wam
daje najwięcej; nie zawieść tych, którzy wam ufają,
kiedy zdają się najmniej was potrzebować; oto jest
konieczna dla was dzielność. Nie w cierpieniach roz-
łąki, nie w niebezpieczeństwie bitwy, nie w udręcze-
niach choroby modlitwa wasza winna być najgoręt-

sza, lub opieka wasza najczulsza. Módlcie się, matki i dziewice, za młodych żołnierzy w pełni ich pychy; módlcie się za nich, gdy jedyne otaczające ich niebezpieczeństwa tkwią w ich własnym niewłaściwym postępowaniu, czuwajcie i módlcie się wtedy, kiedy mają stanąć nie wobec śmierci, lecz wobec pokusy. Ale też taką właśnie dzielność czeka piękna nagroda. Wierźcie mi, że cały charakter i bieg życia waszych kochanków w waszych spoczywa dłoniach; czem zechcecie ich mieć, tem będą, jeżeli zapragniecie nie tylko ich mieć takimi, ale i zasłużycie sobie na to; są oni bowiem jeno lustrami, w których oglądacie same siebie; jeżeli jesteście płocze i oni będą takimi; jeżeli wy nie rozumiecie zakresu ich obowiązków, oni też o nim zapomną; nie będą oni, bo nie *mogą* słuchać innej interpretacji swego obowiązku, jak tylko tej, którą wasze usta wygłaszają.

Każcie im być dzielnymi; będą przez was dzielnymi; każcie im być tchórzami, a chociaż byliby nie wiem jak szlachetni, to spodlegą przez was. Każcie im być mądrymi, a staną się przez was mądrymi; szycie z ich wad, a staną się przez was głupcami; taką i tak bezwzględną jest wasza nad nimi władza. Wyobrażacie sobie może, bo często wam to mówiono, że żona powinna rządzić tylko domem męża, a nie jego umysłem.

Ah, nie! prawdziwa zasada jest tej wprost przeciwna; rzetelna żona jest sługą w domu swego męża, królową jest w jego sercu. Jej rzeczą jest być najwyższą dla niego idea; jej rzeczą dać obietnicę najwyższych jego nadziei; wszystko, co jest w nim ciemnego, jej zadaniem jest rozjaśnić; wszystko, co jest

w nim słabego, ona musi w nim wzmocnić; u niej to musi on zyskać pochwałę bez względu na to, co świat mówi, i w niej, mimo wojny, obejmującej świat cały, musi znaleźć spokój.

Wreszcie jedno słowo jeszcze. Dziwicie się może, iż cały czas wygłaszałem słowa na cześć wojny. Prawdziwie, gdyby to było możliwe, to ja pierwszy przyłożyłbym rękę do młota, mającego przekuć miecze na plugi; a jeżeli to niemożliwe, to już nie ma w tem naszej winy. To wasza wina, w całości wasza. Tylko wskutek waszego rozkazu, lub wskutek waszego pozwolenia, jakakolwiek walka między nami powstać może.

Prawdziwą i ostateczną przyczyną wszystkiej biedy, nędzy i szalu wojennego w Europie jest to, że wy, kobiety, jakkolwiek dobre, religijne i poświęcające się dla tych, których kochacie, jesteście zanadto samolubne i bezmyślne na to, aby troszczyć się o kogokolwiek po za waszem bezpośrednim otoczeniem.

Wyobrażacie sobie, że was /ból innych martwi. Otóż powiem wam tyle tylko, że gdyby przez wojnę rozumiano nie zrywanie dachów z chałup chłopskich i nieplądrowanie ich pól, lecz tłuczenie porcelany i szkła na waszych stołach w salonach, to wojna w żadnym cywilizowanym kraju nie trwałaby i tygodnia. Powiem wam więcej, że kiedykolwiek zechcecie położyć koniec wojnie, uda się wam dokonać z mniejszym trudem, niżeli potrzebujecie do ubrania się na obiad uroczysty.

Wiecie, a raczej mogłybyście wiedzieć, pomyślawszy nieco, że każda bitwa, o jakiej słyszaliście

kiedykolwiek, natworzyła wiele wdów i sierot. Nikt z nas nie ma dosyć serca na żal razem z nimi. Ale moglibyśmy conajmniej przywdziać zewnętrzne symbole żalu.

Niech każda chrześciana, obdarzona sumieniem, ślubuje nosić bodaj zewnętrzną żałobę po pomordowanych bliźnich. Modlitwa wasza jest bezużyteczna, a wasze chodzenie do kościoła prostem przedrzeźnianiem Boga, jeżeli nie jesteście w stanie tego na sobie wymódl.

Niech każda dama z wyższych klas cywilizowanej Europy ślubuje poprostu, że podczas każdej wojny będzie ubierała się czarno; bez klejnotów, ozdób i figielków—a powiadam wam, że żadna wojna nie trwałaby i tygodnia.

I wy, kobiety angielskie, i wasi duchowni, krzyczycie w niebogłosy dlatego, że słyszycie, jako biblie wasze narażone są na ataki. Jeżeli chcecie być posłuszne waszym bibliom, będzie wam zupełnie obojętnem, kto je atakuje.

Właśnie ponieważ nie spełniacie ani jednego z przepisów tej księgi, to troszczycie się tak bardzo o jej kredyt, i ponieważ nie staracie się być posłusznymi jej całym słowom, to dlatego dbacie tak bardzo o litery. Biblia każe wam ubierać się skromnie, a wy szalejecie za świecidlami. Biblia każe wam litować się nad biednymi, a wy miażdżycie ich pod kołami waszych powozów. Biblia nakazuje wam sprawiedliwość, a wy ani wiecie, ani chcecie nawet wiedzieć, co znaczy biblijne słowo „sprawiedliwość.“

Nauczcie się bodaj tyle prawdy, ile w tem się mieści; wiedzcie, czego On chce, kiedy chce, abyście

byli sprawiedliwi; uczcie swych synów, że dzielność ich jest tylko głupią przechwałką, ich czyny jeno miotaniem się podpalacza, jeżeli nie są sprawiedliwi i nie boją się Boga, a wkrótce nie będziecie miały więcej wojny, chyba taką, której On chce, o którym, chociaż jest księciem pokoju, powiedziano: „W sprawiedliwości swej sędzi i wojnę czyni.“

ODCZYT IV.

Przyszłość Anglii.

(Wygłoszony w Królewskim Instytucie w Woolwich,
14 grudnia 1869 r.).

Chętnie pozostawiłbym natchnieniu chwili, chociaż boję się, że nie znalazłbym odpowiednich słów—bo nie łatwo przychodzi mi znaleźć je nawet po namyśle, aby wam wyrazić, jak bardzo mnie cieszy pozwolenie przemówienia przed wami. Wstydę się nieco pozorów, jakobym był zdolny powiedzieć wam taką jakąś prawdę, którejbyście wy sami o wiele głębiej niż ja nie czuli; ale zarazem doznaję przyjemności na myśl, że moje mniejsze doświadczenie i sposób życia, na próby nie wystawiany, jakoteż wolny od waszej oopowiedzialności, mogły mi zostawić nieco dziecięcej wprost władzy przyjscia wam z pomocą, i nadziei udzielenia tej pomocy ludziom, którzy tak wiele czynili w swem życiu, że nie mogli nie potknąć się niejednokrotnie.

I zaiste, nawet ten wśród nas, co ma najsilniej-

szą nadzieję, nie może nie zdradzać w wielu kierunkach obawy. Gdyż o jednym przynajmniej wiemy wszyscy aż nadto dobrze, to jest o tem, że znajdujemy się w przededniu wielkiego kryzysu politycznego, jeżeli nie politycznych zmian; że zbliża się starcie pomiędzy świeżo zrodzoną potęgą demokracji a pozornie niknącą siłą feodalizmu, jakoteż inne jeszcze niemniej groźne starcia, a o wiele niebezpieczniejsze: pomiędzy bogactwem a biedą. Obie te walki uważa się zwykle za jednoznaczne, i prowadzi się je razem, bo pozornie wspólny interes łączy milionera z arystokratą w chwili oporu, stawianego masom, wołającym już to o chleb, już o wolność.

A jednakże trudno pojąć dwie bardziej odmienne walki. Bogactwo wcale do szlachectwa niepotrzebne, jest mu przeciwnie wrogie, do tego stopnia wrogie, że pierwszą cechą tych, którzy dali początek wielkim dynastjom świata, było ubóstwo, częstokroć wskutek złożonej przysięgi—zawsze wskutek wielkoduszności. A o każdym prawdziwym rycerzu w wiekach minionych powiada historia przede wszystkim, że nigdy nie gromadził skarbów dla samego siebie.

Tak więc źródła bogactwa i szlachectwa nie są te same; przeciwnie, zasadniczo różne. Z drugiej strony przyczyny anarchii, oraz ubóstwa także nie są te same, lecz przeciwne sobie, gdyż zaiste obecnie widzimy obok siebie w jednym szeregu i pychę, powstającą przeciwko władzy, i nędzę, występującą przeciwko chciwości. Wspólne źródło nie istnieje to do tego stopnia, że wszelka anarchia jest poprzedniczką biedy, a dobrobyt bierze swe źródło w posłuszeń-

stwie, tak, że stało się niepodobieństwem udzielić należnego poparcia porządkowi bez pozornego popierania krzywdy i niepodobieństwem bronić pretensyi ubóstwa bez pozornego bronienia rozwiązłości.

Niech mi więc wolno będzie naszkicować pobieżnie rzetelną istotę tych sporów, oraz ich przyczyny. Stańmy bądź co bądź wobec nagiej prawdy i rozstrzygnijmy odpowiednio do naszej mocy, po czyjej stronie należy się oświadczyć.

Po pierwsze. Przez jedenaście setek lat, od czasu jak Charlemagne włożył na swe czoło lombardzką koronę, wszystkie europejskie ludy zgodziły się chętnie na to, aby rządili nimi zazwyczaj królowie—to jest pojedynczy kierownicy jakiegokolwiek rodzaju. Ale przez ostatnich lat pięćdziesiąt zaczęły ludy podejrzewać, a ostatecznie nawet przyszły do przekonania, że na ogół biorąc, źle były rządzone przez swych królów. Wskutek czego powiadają one coraz wyraźniej: „nie miejmy odtąd królów; nie miejmy żadnego rządu.“

Powiedziałem, że musimy stanąć wobec nagiej prawdy, aby zobaczyć, co nam czynić należy. Prawdą zaś jest, że ludy były istotnie źle rządzone — że jak dotąd, nie wiele przemawia za ich władcami i że niewątpliwie wiele ludów spróbuje nowego systemu „bez władcy“—a ponieważ to urządzenie będzie bardzo miłe dla wszystkich głupców, korzystne zaś dla ludzi występnych—a nie brak tych dwóch kategorii, zajmujących ważne stanowiska w każdym społeczeństwie—przeto jest rzeczą możliwą, że eksperyment ich znajdzie szerokie zastosowanie, a świat może zechcieć wiele wycierpieć w nadziei poprawy i zacho-

wać swą wiarę w anarchię, bez względu na wyniki, przynajmniej dopóki je będzie mógł znosić.

A po drugie. Ludzie zaczęli podejrzewać, że pewna szczególna postać tych złych rządów w przeszłości polegała na tem, iż władcy zaprzęgali ich do spełniania całej potrzebnej pracy, a sobie zabierali wszystkie zarobki.

Jednem słowem, że to, co się nazywało rządzeniem ludźmi, oznaczało właściwie tylko noszenie pięknych sukien i spożywanie dobrego jedła na ich koszt. Przykro mi, ale muszę oświadczyć, że ta opinia ludzka jest całkowicie uzasadniona. Jeżeli wejdziecie w głąb rzeczy, to znajdziecie, że taka była struktura europejskiego społeczeństwa podczas panowania systemu feodalnego; społeczeństwo dzieliło się na chłopów, żyjących z pracy—księży, żyjących z jałmużny, i rycerzy, żyjących z rabunku; a w miarę jak ogół stanie się stopniowo świadomym tych faktów, stanowczo nie ścierpi, aby sprawy nadal w ten sposób były urządzane; wyszukiwanie zaś nowych dróg poruszy gwałtownie wszystkie umysły, zwłaszcza, że pierwszym przekonaniem inteligentnej części ludności jest to, iż gdy w przeszłości połowa narodu żyła w próżniactwie, to w przyszłości będą mogli tak żyć wszyscy.

Po trzecie wreszcie—a tu tkwi najgorsza faza kryzysu. Miniony system nierządu, zwłaszcza w ciągu ostatnich trzystu lat, stworzył wskutek swego nie dbalstwa, szczególnie wśród niższych warstw klasę ludzi, którą bardzo trudno rządzić. System więc całkiem słusznie stracił ich szacunek, ale to najmniejsze nieszczęście. Najgorszem jest to, że niższe warstwy

zatraciły naprzód zwyczaj, a potem zdolność szacunku—zatraciły samą zdolność poważania, która jest najcenniejszą częścią ludzkiej duszy.

W stosunku, w jakim znajdujemy istoty wyższe od siebie, na które spoglądamy z szacunkiem, ściśle w tym samym stosunku uszlachetniamy się sami i w ten sposób zyskujemy szczęście.

Gdybyśmy zawsze mogli żyć w obliczu archaniołów, byłibyśmy szczęśliwsi, niżeli żyjąc w obliczu ludzi, lecz gdybyśmy mogli żyć jeno w towarzystwie podziwienia godnych rycerzy i pięknych dam, to im byłiby szlachetniejsi i jaśniejsi, i im więcej byłibyśmy zdolni szanować ich cnoty, tem czulibyśmy się szczęśliwsi. Przeciwnie zaś, gdyby nas skazano na życie wśród idiotów, niemych, pokoszlawionych i złośliwych, nie czulibyśmy się szczęśliwi wskutek własnej nad nimi wyższości.

Wszelka rozkosz i siła postępu ludzkości polega na znalezieniu przedmiotu czci i szacunku, wszelkie zaś poniżenie i nędza ludzkości zaczynają się od zwyczaju pogardy i lekceważenia.

Tymczasem wskutek ogólnie złych rządów, powtarzam, stworzyliśmy w Europie liczną ludność, która po za Europą jest jeszcze liczniejszą, ludność, co zatraciła nawet zdolność i pojęcie szacunku;—ludność, żyjącą jedynie uwielbieniem siebie samej — nie zdolnej ani do spostrzeżenia wokół siebie czegokolwiek pięknego, ani do pojęcia czegokolwiek cnotliwego powyżej siebie; ludność, która względem wszelkiej dobroci i wielkości nie żywi innych uczuć, jak tylko najniższe—obawy, nienawiści, głodu; ludność, do któ-

rej lepszych instynktów apelować nie można, której liczba jest dla wszelkiej władzy niebezpieczna, której tak samo nie można oczarować, jak zmii, ani utrzymać w karności, jak muchy.

Panowie! takim jest kryzys, czas o nim pomyśleć. Postawiłem go przed waszemi oczyma w ogólnych i szerokich zarysach, ale czarnych zarysach. Zobaczmy teraz, czy nie znajdziemy jakich stron jasnych.

Zaledwie przedwczoraj w piśmie, które jest dosyć typowym wykładnikiem współczesnego konserwatyizmu i które wcale nie sprzyja strejkom, oraz innym sprawom tego rodzaju, zaledwie przedwczoraj znalazłem artykuł wstępny o takim lub podobnym tytule: „Co się ma stać z izbą lordów?” — Tytuł ten uderzył mnie, gdyż zdawało się, że posuwamy się nawet szybciej, niż przypuszczałem, skoro takie pytanie postawiono jako przedmiot otwartej dyskusji i to w piśmie, przeznaczonem głównie dla klas średnich i wyższych. Otwarta dyskusja, czyli też nie—w każdym razie pora dyskusji zbliża się. Cóż ma się stać z lordami?

Odpowiedź na to pytanie zależy od zdolności odpowiedzenia na drugie pytanie: „Jaki z nich pożytek?”

Niedawno temu naród bodaj wierzył, że zadaniem ich jest stawiać przeszkody uchwałom, aby dać czas do lepszego namysłu. Ale naród niecierpliw się przeszkodami do uchwał; to też zapewne wcześniej lub później pomyśli o usunięciu tych kosztownych hamulców swej fantazyi.

Nie slyszalem za8 ani publicznie, ani prywatnie od 8adnego z nich jasnego wyrazienia ich wlasnego sadu o swej pozytecznosci, tak, ze zdaje sie byc obowiazkiem wszystkich ludzi mowic im to, co nam nasz jasnowidzacy nauczyciel, Carlyle, mowil przez laty, ze zadaniem lordow jest rzadzic krajem.

Jeżeli odpowiedzą temu zadaniu, kraj będzie rad zachować ich; jeżeli zaś nie, to stanie się z nimi to samo, co z innymi rzeczami, które utraciły zdolność przynoszenia pożytku.

Tu oto jest jedno pytanie, odnoszące się do kryzysu tak dla nich, jak i dla nas. Czy zechcą być istotnie lordami i dawać nam prawa—wodzami i prowadzić nas — księżętami i dać nam początek prawdziwszej dynastji, która za nic nie splami się chciwością i nie znieprawi niesprawiedliwością? Czyż sami upadli tak nisko, aby stracić w to nadzieję? Czyż są między nimi jeszcze tacy, którzy mogą wystąpić z odkryciem angielskiem czołem i powiedzieć: — O ile to odemnie zależy, będę rządził według całej siły, nie według zasady *Dieu et mon Droit*, ale według pierwotnej zasady, będącej okrzykiem wojennym: *Dieu et Droit*?

Wiem, że między nimi jest pewna ilość,—między wami zaś, żołnierze Anglii, jest wielu, którzy zdolni są do tego; to też w was pokładamy swoje zaufanie.

Ja, jeden z maluczkich waszego kraju, proszę was w ich imieniu—was, których nie nazwę już więcej żołnierzami, lecz bardziej odpowiadającą wam nazwą rycerzy, was, angielscy *equites*—ilu jeszcze jest

was, błędnych rycerzy, gardzących wszelkiem niebezpieczeństwem — rycerzy cierpliwych ponad wszelką wytrwałość; ilu was jest, przestrzegających ciągle jeszcze dawnego i wiecznego celu stanu rycerskiego, jakim jest pokonywanie występnych i wspomaganie słabych?

Do tych, czy ich jest mało, czy wielu, my, lud angielski, wołamy o pomoc przeciw nikczemności i o panowanie nad wielkością mas oszukanych i opuszczonych, wykrzykujących tę nową ewangelię swej nowej religii: „Niech słabi czynią jak mogą, a występni, jak chcą.“

Słyszę, jak mówicie w głębi swych serc, nawet najdzielniejsi z was: „Minęły czasy na to wszystko.“ Panowie, to nie prawda. Przeciwnie, nadszedł czas na *więcej*, niż to wszystko.

Dotychczas żołnierze oddawali swoje życie za fałszywą sławę i za okrutną władzę. Teraz nastaje dzień, w którym muszą oddawać swe życie za prawdziwą sławę i za dobroczynną władzę; a praca znajduje się pod ręką każdego z was—tuż obok was— a środki do pracy włożono wam w ręce. Lud woła do was o kierownictwo, a wy stoicie bezczynni z nimi.

Sądźcie, że nie życzą sobie być kierowani, spróbujcie, określcie, co jest dla nich potrzebne, co zaszczytne; ukażcie im to, przyrzeknijcie zaprowadzić ich do tego celu, a pójdą za wami przez ogień, „Rządźcie nami“—wołają jednomyślnie. Anglikami można jeszcze rządzić, bo są to ciągle jeszcze ludzie, a nie komary, albo węże. Kochają oni jeszcze drogi, po których dawniej stąpali i swych dawnych

władców i swoją ziemię. Chcieliby chętnie żyć na niej, w jak największej liczbie, byleście im pokazali, jak żyć mają — albo nawet, jak mają umrzeć, jak prawdziwi Anglicy.

„Żyć na niej w jak największej liczbie.“ Ilu według was mogłoby żyć? Iluby zdołało? Iluż chcecie, żeby na niej żyło? Pierwszym celem waszym, jako władców, jest powiększenie swej władzy; a w czemże tkwi potęga kraju? Czy chcecie mieć władzę nad jego kamieniami i chmurami, czy nad duszami? Co rozumiecie przez wielki naród, jeżeli nie wielką masę ludzi, dochowujących sobie nawzajem wiary, i silnych, i posiadających wysoką wartość? Liczbę możecie powiększyć tylko do pewnej granicy, bo wyspy wasze posiadają określoną przestrzeń, ale wartość możecie zwiększać bez granic. Wyspy wasze są małe; przypuśmy jednak, że wypadłoby wam zaludnić je przyjaciółmi? Moglibyście i to łatwo; musicie tak zrobić i to szybko, albo doczekamy się końca tej naszej Anglii, oraz jej wszystkich spraw.

Zaludnić tę małą wyspę prawdziwymi przyjaciółmi—ludźmi dzielnymi, mądrymi i szczęśliwymi. Czyż to rzecz tak niemożliwa po ośmnastu wiekach chrześcijaństwa i po tysiącoleciu waszej własnej usilnej pracy, zaludnić tę małą, biało-półyskującą skałę szczęśliwymi istotami, pomagającymi sobie wzajemnie?

Afryka, oraz Indye, wreszcie obficie nawodniona płaszczyna brazylijska, są odpowiedniemi miejscem dla rasy ludzkiej. Czyż nie dość tam miejsca dla bólu? Czyż i my musimy być tu dzikimi, wrogiem jeden dla drugiego, pozbawieni pokarmu i domostw, w łachmanach i pyle, bez nadziei,

bez której żyją nas tysiące i dziesiątki tysięcy? Nie sądzicie tak panowie. Myśl, że to stan nieunikniony, jest wiarołomstwem; nie tylko wiarołomstwem względem Boga, ale i względem każdej stworzonej przez Niego istoty, względem każdego, postanowionego przez Niego prawa. Czyż mamy sądzić, że ziemia na to tylko została ulepiona, żeby się stać krainą tortury? I że nie może być na niej miejsca, gdzieby panowały pokój i sprawiedliwość?

Gdzież ludzie mają być szczęśliwymi, jeżeli nie w Anglii? Któż ma nas uczyć sprawiedliwości, jeżeli nie wy? Czyż nie jesteśmy najsilniejszą rasą ziemską?

Krew nasza jest nieznużona i niepokonana przez smutek! Czyż nie posiadamy historii, o której nie możemy prawie pomyśleć, aby wbici w dumę, nie stać się bezczelnymi? Czyż możemy bez przekroczenia granic kurtuazji względem innych narodów powiedzieć, o ile możemy być dumniejsi ze swych przodków aniżeli oni?

Wśród naszych dawnych monarchów wielkie zbrodnie zdarzały się często. Ale dzielność ich zgodnie z ich pojęciami i dobroczynność nie ginęły nigdy. Wojny Róż, które padły na naszą ziemię, jakby straszny cień karmazynowy, przedstawiają normalne położenie innych narodów; z drugiej strony zaś od czasów Heptarchii w dół dostarczyły nam wszystkie stany przykładów najróżnorodniejszych i najwznioślejszych cnót; minione wieki przekazały nam gromadę skarbów, której żaden mól nie zniszczy i którego nawet zdrada, gdybyśmy mieli stać się zdrajcami, nie splamiałaby.

I to jest naród, którym nie umiemy już więcej kierować, i to historia, której bieg mamy przewrócić buntem, i to kraj, gdzie życie ma się stać trudnym dla uczciwego, a śmiesznym dla mądrego!

Katastrofa zaś ma się zdarzyć wtedy właśnie, kiedy zaczęliśmy czynić szybki postęp, przewyższający mądrość i zasoby przeszłości.

Miasta nasze są lasem przedzalni raczej, niżeli pałaców; a jednak ludziom brak ubrania. Przysypaliśmy popiołem każdy liść w angielskich lasach, a jednak ludzie umierają z zimna, zatoki nasze przedstawiają las okrętów kupieckich, a jednak ludzie umierają z głodu.

Czyż w tem wina? Wasza, panowie; wyłącznie wasza. Wy jedynie możecie ich nakarmić, wy odziać i doprowadzić ich umysły do właściwego stanu, bo wy tylko możecie rządzić—to znaczy: wy tylko możecie ich wykształcić.

Kształcić albo rządzić, znaczy zupełnie to samo. Kształcić to nie znaczy uczyć ludzi tego, czego nie wiedzą, to znaczy uczyć ich zachowywać się tak, jak się nie zachowują, a prawdziwe „przymusowe wykształcenie“, o które lud was prosi obecnie, to nie katechizm, lecz musztra; nie znaczy to uczyć młodzież Anglii kształtów liter i liczb, a potem dozwolić jej używać swej arytmetyki do oszustw, a literatury do rozwiązań. Przeciwnie, jestto wprawianie ich w panowanie nad ciałami i duszami. Jestto bolesna, nieustanna i trudna praca, którą trzeba spełniać łagodnie, drogą strzeżenia, ostrzegania, przepisów i pochwał, ale przedewszystkiem drogą przykładu.

Przymusowe wykształcenie! Tak, niewątpliwie! „Idźcie na rozdroża i zmuscie ich do przyjścia!” Przymusowe! Tak, ale i bezpłatne.

Lud należy kształcić *Dei gratia*; ponieważ wy *Dei gratia* zostaliście wyznaczeni do uczenia go. Słyszę nieustannie dziwną mowę: „jak trudno skłonić lud do płacenia za edukację!” Ba, to jasne! czy żądacie, aby dzieci płaciły wam za edukację, albo czy dajecie im ją za darmo? Nie oczekujcie od nich zapłaty za uczenie, chyba w formie stania się dobrymi dziećmi. Dlaczegoż mielibyście spodziewać się od chłopca za jego edukację innej zapłaty, niż w formie stania się dobrym człowiekiem?

Wszakże to dostateczna chyba zapłata. Dostateczna zapłata dla chłopca, tak samo jak i dla nas. Bo to jest jeszcze jeden z naszych wielkich i powszechnych błędów, że ludzie myślą zawsze o edukacji, jako o środku do życia.

Edukacja nie jest zyskownym interesem, lecz przeciwnie, kosztownym; bo nawet najlepsze jego rezultaty nigdy nie przynoszą korzyści w brzęczącej monecie; żaden naród nie zarabiał jeszcze na chleb swą wielką sztuką, albo wielką wiedzą. Lecz mniejszymi sztukami, czyli manufakturą i nauką praktyczną; jego szlachetna uczoność, szlachetna filozofia, szlachetna sztuka, muszą być zawsze kupowane, jak skarb jaki, a nie sprzedawane na utrzymanie. Nie uczymy się, aby żyć—ale żyjemy, aby się mózdz uczyć.

Powinniśmy wydawać na edukację narodową i osiągnąć przez nią nie więcej pieniędzy, lecz lepszych

ludzi; mamy stworzyć na tych wyspach brytańskich możliwie największą ilość dobrych i dzielnych Anglików. Oni to mają być zyskiem.

Ale zkądże wziąć na to pieniędzy? Tak, to jest ważne pytanie; w narodowym kryzysie zajrzyjmy nietylko w nasze sprawy, ale i w nasze rachunki, aby dowiedzieć się, jak my corocznie wydajemy nasze pieniądze i co za nie dostajemy. Nie jest moim zamiarem poddać badaniu publiczne dochody; o tych my już teraz wiemy coś niecoś; ale postaramy się roztrząsać pozycye naszych prywatnych wydatków i dowiedzieć się, co wydajemy i jak wydajemy.

Zacznijmy więc od edukacji. Wszyscyście zapewne slyszeli przepyszny odczyt, wygłoszony niedawno przez kapitana Maxse w Sauthampton. Zawiera on jasne zestawienie faktów znanych obecnie odnośnie do naszych wydatków w tym kierunku. Okazuje się, że z naszych publicznych funduszków na każdy funt, wydany na edukację, przypada dwanaście bądź to na dobroczynność, bądź na kary; dziesięć milionów rocznie pochłania bieda i zbrodnia, a osiemset tysięcy wykształcenie. Otóż kapitan Maxse dodaje do tych dziesięciu milionów publicznych funduszków, wydanych na zbrodnię i niedostatek, mniej lub więcej przypuszczalną sumę ośmiu milionów na dobroczynność prywatną. Według mnie, wyliczenie to jest o wiele niższe od prawdziwego stanu rzeczy, ale w każdym razie pomija najcięższą i najsmutniejszą formę miłosierdzia, to jest utrzymywanie przez pracujących członków rodziny nieszczęśliwych lub źle prowadzących się osób, które obecny porządek rzeczy po-

zostawia całkiem bez nadziei, jako ciężar dla innych.

Naprzód tedy pragnę dojść do pewnego, nie powiem przybliżonego, ale w każdym razie wielce pouczającego obliczenia, ilości rzeczywistego nieszczęścia i źle prowadzonego życia w naszym kraju. Następnie pragnę dosyć wiernego obliczenia naszych prywatnych wydatków na zbytki. Zdaje mi się, że nie wydamy publicznie więcej nad osiemset tysięcy rocznie na bezpłatną edukację ludzi. Teraz chciałbym wiedzieć, o ile możności jak najdokładniej, ile wydajemy prywatnie na bezpłatną edukację koni. Starajmyż się przynajmniej dla każdego konia wytrenować jednego jeźdźca; starajmy się, aby jeździec był co najmniej tak samo czystej krwi, jak i koń, więc nie dzokiej, lecz „chevalier“. Wydajemy więc osiemset tysięcy rocznie (a to zawsze nie mała kwota) na oszlifowanie szorstkich umysłów. Chciałbym teraz wiedzieć, ile wydajemy rocznie na szlifowanie kamieni; to znaczy, jak wielką może być roczna kwota naszych rachunków jubilerskich. Tyle płacimy za gratisowe kształcenie dzieci; a ileż za gratisowe ukształcenie dyamentów, i co przynosi lepszy dochód: polerowanie umysłów, czy węgla? Zestawmy te dwie pozycje z niejaką szczerością, jakoby kilkunnych tego samego rodzaju. Uczynimy to *publicznie*. Nie powinniśmy się wstydić tego, w jaki sposób wydajemy swoje pieniądze. Jeżeli prawica nie ma wiedzieć, co czyni lewica, to nie dlatego, żeby spółnęła wstydem, gdyby się dowiedziała.

To więc jest pierwszą rzeczą, którą uczynić trzeba. Niech każdy, życzący dobrze krajowi, złoży

mu roczny rachunek swego dochodu, jakoteż z głównych pozycji rozchodu, albo, jeżeli wstydzi się to uczynić, niechaj biednym nie wyrzuca ich ubóstwa, jakby zbrodni, i nie zaprzęga do tłuczenia kamieni, dla powstrzymania ich od zbrodni. Tracić pieniądze jest częstokroć zbrodnią, ale zyskać je źle, jest zbrodnią jeszcze większą, wydać źle największą.

Wy, lordowie Anglii, nie chcecie podnieść biednym zarobków, jakie im wypłacacie, ponieważ, powiadacie, że nierozsądnie je wydają. Złóćcież im przeto rachunek z zarobków, jakie oni wam dają, i pokażcie im swoim przykładem, jak mają wydawać swoje zarobki rozsądnie do ostatniego grosza.

Zaiste, czas już uczynić kwestyę wydawania pieniędzy przedmiotem wykształcenia klasy roboczej, ponieważ, panowie, musimy udzielić tej instrukcyi, bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie. Dawaliśmy ją ubiegłych lat, a teraz ganimy nasz lud zato, że zbyt był pojętny i uległy, i za dobrze skorzystał z naszej nauki.

Zaledwie kilka dni temu otrzymałem list od żony pastora wiejskiego, człowieka uprzejmego i ze zdrowym rozsądkiem, który doznawał umysłowego niepokoju z powodu, że ci właśnie, którzy w lecie najwięcej zarobili, w zimie zgłaszali się do niego w niedostatku. W niedostatku i w burzliwym usposobieniu, gdyż ich metoda wydawania zarobków w peryodzie powodzenia polegała na wysiadaniu przez dwa dni w tygodniu w oberży i na żłopaniu wina nie puharami, lecz cebrzykami.

Otóż panowie, któż ich nauczył takich sposobów zabawiania się? Trzydzieści lat temu, jako cał-

kiem niedoświadczony nowicysz, udałem się na pierwszą uniwersytecką kolację; na pierwszym miejscu siedział wiele obiecujący szlachcic, posiadający zadziwiające zdolności, obecnie zabite paraliżem; wpośród nas stały nie cebrzyki wprawdzie, ale czary wielkości cebrzyków; nabieraliśmy też napoje warząchwiami. Tam to (ponieważ takie rozpoczynanie studiów uniwersyteckich było przymusowe) nabierałem sobie całą warząchwia poncz zamiast klaret, ponieważ w ten sposób mogłem niespostrzeżony wlać wszystko za kamizelkę zamiast w gardło, i zostałem do końca uczyty i pomagałem wynosić czterech kolegów (z tych jeden był synem przełożonego kolegium) po schodach głową na dół do domu.

Takie rzeczy nie dzieją się już więcej, ale owoce ich pozostały i pozostaną przez czas jeszcze długie. Robotnicy, których nie możecie dzisiaj uchronić przed piwiarniami, są jeno zanadto dobrymi uczniami dżentelmanów, którzy mieli zwyczaj zabawiania się w jadłodajniach. Dżentelmani wcale nie uważali za stosowne zmniejszać swych dochodów dla poprawienia swych własnych obyczajów, i wierzajcie mi, że lekarstwo na pijanego robotnika nie leży w zmniejszeniu jego zarobków, lecz w naprawie umysłu.

I zaiste, jeżeli nie widzimy jeszcze całkiem jasno, jak mamy postępować z grzechami naszych biednych braci, to jest rzeczą możliwą, że przyćmienie naszego wzroku może mieć jeszcze inne przyczyny, które dadzą się wykluczyć. Mamy dwa przeciwne sobie okrzyki partyj liberalnej i konserwatywnej, które są słuszne i mogą służyć za hasła. Z ich strony: „niech każdy człowiek ma otwarte pole“; z waszej strony:

„niechaj każdy zajmuje swoje stanowisko“. Tak, zaiste, niech każdy zajmuje swoje stanowisko zupełnie do niego uzdolniony. Patrzcie, aby otrzymał to stanowisko z Opatrzności Boskiej, a nie przez opatrzność swej rodziny. Niechaj duchowni lordowie wyrzekną się świętokupstwa, a już my, laicy, uporamy się za nich z heretykami. Niech lordowie świeccy zerwą z nepotyzmem, a już my staniemy za nich w obronie ich autorytetu. Wy, żołnierze, wydawajcie dla nas wojskową gazetę, w której będą codzień podawane przyczyny awansów, gazetę, któraby nam prosto powiedziała, ile razy kto zostanie przeznaczonym na nową pozycję, jaka była jego poprzednia służba i zasługi, na czyje poszedł miejsce i z jakiej racyi; wam to zawsze sprawi zadowolenie, a dla nas może być czasami korzystne; a wtedy, jeżeli okaże się rzeczywiście potrzeba dyskusyi nad zmniejszeniem zarobków, zaczynajmy zawsze nie od zarobków klas pracujących, ale od zarobków klas próżnujących. Niech istnieją honorowe tytuły, jeżeli ludzie lubią je; ale niechaj nie będzie honorowych dochodów.

Tyle o hasle pracodawcy: „każdy na swoim stanowisku“. A teraz o hasle robotnika: „niech każdy człowiek ma otwarte pole“. Pozwólmy sobie za nich na małą poprawkę i powiedzmy: „Niech każdy człowiek posiada pewność.“ Pewność, że czyniąc dobrze, będzie honorowany i wspierany, i awansowany w stopniu, zgodnym z jego zdolnościami i spokojem jego duszy; pewność, że czyniąc źle, będzie sprawiedliwie osądzony i słusznie ukarany; poprawiony, jeżeli to możliwe; jeżeli zaś nie, to potępiony, oto właściwy wykład republikańskiego hasła: „Niech każdy czło-

wiek ma otwarte pole". A z takim systemem rządu czystego, czujnego i sprawiedliwego możecie wziąć się do waszego wielkiego problemu narodowej edukacji, czyli innemi słowy—narodowej pracy. Gdyż wszelka edukacja zaczyna się od pracy. Co myślimy, co wiemy, albo w co wierzymy, to jest ostatecznie małego znaczenia. Jedyłą ważną rzeczą jest to, co *robimy*; to też dla mężczyzny, kobiety lub dziecka pierwszym punktem wykształcenia jest skłonić ich do jak najlepszego postępowania. Prawem dobrej ekonomii jest zawsze dobrze działać, a tembardziej udoskonalać każdą żywą istotę! To też, jeżeli biedak przychodzi do was, prosząc o chleb, pytajcie go niezwłocznie: Jakie posiadasz uzdolnienie? Co umiesz robić najlepiej? Czy umiesz wbić gwóźdź w drzewo? Iść w takim razie i napraw ploty parafialne. Umiesz układać cegłę? Napraw mury tych domów, w które wiatr się wciska. Czy możesz udźwignąć łopatę ziemi? Zatem przekop to całe pole na trzy stopy w głąb. A możesz dźwigać na barkach ciężary? Stań u spodu tego wzgórza i pomóż przeladowanym koniom. Czy umiesz kuć żelazo lub rzeźbić kamień? Zamień ten poszarpany brzeg na przystań i zmień te ruchome piaski na żyzny grunt. Wlej życie wszędzie tam, gdzie była śmierć, oto będzie twoja praca, oto twój przytułek parafialny, to twoja edukacja. Tylko tak, a nie inaczej możemy zaradzić istniejącej biedzie. Ale dla nieustannej edukacji całego ludu i dla jego przyszłego szczęścia muszą wszyscy mieć takie zajęcia, jakiego potrzeba do rozwoju wszystkich palców, członków i mózgu; a zajęcia to można osiągnąć jeno pracą ręczną, której istnieją cztery wielkie

działy: praca na ziemi, na morzu, w sztuce i na wojnie.

O dwóch ostatnich nie mogę dziś mówić, a o dwóch pierwszych tylko bardzo zwięźle.

I. Ręczna praca na ziemi, to praca rolnika i pasterza; uprawiać ziemię i hodować stado, to pierwsze zadanie człowieka i ostatnie także, to edukacja najszlachetniejszych prawodawców, królów i nauczycieli; edukacja Hesyoda, Mojżesza, Dawida i całej rzetelnej potęgi Rzymu, oraz jego subtelności, była to дума Cincinnata i natchnienie Vergilego. Ręczna praca na ziemi i jej żniwa ze śpiewem zebrane; nie zaś praca parowej maszyny na ziemi i żniwo, zebrane przy odgłosie parowej piskczalki. Ta fujarka owczarska i ta symfonia pasterska nie będą akompaniowały głosowi proroka. Czy wiadomo wam, że niedawno w Cumberland, w głównym pasterskim okręgu Anglii, we własnej siedzibie Wordswortha, procesya włościan zaopatrzyła się na uroczysty dzień w plug parowy z piskczalką, zamiast muzyki!?

Bądźcie cierpliwi, gdy przedstawię wam zasadę pracy maszynowej tak jasno i tak krótko, jak to tylko możliwe; jest to bowiem zasada, którą obecnie znać trzeba. Przypuśćmy, że właściciel ziemski potrzebuje dać zatrudnienie stu ludziom w swym majątku i że praca tych stu ludzi wystarcza, ale nie jest za wielka na to, aby uprawić całą jego ziemię i wydobyć z niej pożywienie dla rodziny właściciela i owych stu robotników. W takich okolicznościach jest on zmuszony utrzymywać wszystkich ludzi w umiarkowanym komforcie i może jeno przez oszczędność nagromadzić nieco dla siebie samego. Ale,

przypuśćmy, że wymyśli maszynę, która z łatwością wykona pracę pięćdziesięciu ludzi, pod nadzorem jednego tylko człowieka. Wygląda to na wielki postęp cywilizacji. Farmer każe sobie oczywiście zbudować maszynę, oddali pięćdziesięciu ludzi, którzy mogą umrzeć z głodu, albo wyemigrować, dokąd im się podoba, on zaś może zatrzymać sobie całą połowę produktów swego majątku, która przedtem musiała iść na wyżywienie robotników.

Oto jest istotne i nieustanne działanie maszyny wśród nas w dobie obecnej.

Otóż naprzód otrzymujemy odpowiedź, że nikt nie może wistocie zatrzymać sobie połowy produktów z majątku, ani też nie może ostatecznie zatrzymać nic po nad dział, przypadający na jednego człowieka: bogactwa jego muszą się kiedyś rozproszyć; musi utrzymać niemi kogokolwiek innego, jakkolwiekby je zużył. W głównych zarysach to prawda (choć nie zupełna), gdyż bogacze trwonią osobiście w zwyczajnych okolicznościach takie ilości jada i opału, że wystarczyłyby one do podtrzymania wielu żywotów ludzkich.

Jednym z moich wielkich zbytków naprzykład są świece i spalam zapewne na swój własny użytek w ciągu zimy tyle świec, ileby wystarczyło do pocieszenia starych, a oszczędzenia młodych oczu jednej całej wsi, używającej kaganków.

Jednakże mimo to w głównych zarysach prawdą jest, że ludzie bogaci nie niszczą życia biedaków przez osobistą rozrzutność. Ale oto sposób, w jaki tego dokonywają:

Wróćmy do naszego farmera. Zamówił on sobie maszynę, która porusza się po nowożytniej Arkadyi piszcząc, skrzypiąc, czasami nawet eksplodując. Oddalił pięćdziesięciu ludzi, aby z głodu pomarli. W pewnej odległości od jego fermy jest druga, na której robotnicy pracowali na chleb w ten sam sposób przez uprawę gruntu. Maszynista posyła do nich i każe im powiedzieć: — Mam dosyć pożywienia dla was, chociaż nie będziecie ani kopać, ani orać. Mogę utrzymać was przy innych zatrudnieniach, niż orka ziemi; grabiąc jego zwir, znajdziecie nieco twardych kamieni, będziecie je mleć w młynach, aż póki nie dostaną połysku; potem każę z nich zrobić naszyjnik. Skopawszy łąki, znajdziecie delikatną glinę, z której zrobicie dla mnie porcelanowy serwis, resztę fermy obrócę na pastwisko dla koni powozowych, a wy będziecie pilnowali ich, inni zaś będą jeździli z tyłu za powozem z laskami w rękach, a za to ja was utuczę lepiej, niżbyście się mogli utuczyć sami za pomocą kopania ziemi.

Ale czyż nie mamy mieć dyamentów, ani porcelany, ani obrazów, ani lokajów, mógłby ktoś zapytać? Czyż wszyscy mamy być farmerami? Nie powiadam, co powinniśmy czynić, pragnę jeno wykazać z doskonałą jasnością naprzód to, co czynimy, a to, powtarzam raz jeszcze, jest wynikiem stosowania maszyn w tym kraju.

Zważcie wpływ tego na siłę narodową. Bez machin macie stu pięćdziesięciu ludzi zdolnych do obrony kraju. Tymczasem budujecie wasze maszyny, skazujecie na śmierć głodową pięćdziesięciu z nich,

tyłuż z nich zamieniacie na szlifierzy dyamentów lub lokajów, a dla obrony narodowej przeciw nieprzyjacielowi macie i możecie mieć tylko pięćdziesięciu ludzi, zamiast stu i pięćdziesięciu, i to bardzo zubożniałych dla was, jako wodzów, gdy reszta, to kamieniarze i lokaje—a przy tem wszystkiem pług parowy.

Oto jeden skutek maszyn, ale w każdym razie straciwszy tyle w ludziach, zyskaliśmy bogactwo; zamiast szczęśliwych dusz ludzkich, zyskaliśmy przynajmniej obrazy, porcelanę, konie i sami mamy się lepiej, niż przedtem.

Ale bardzo często przy mnóstwie pomysłów maszynowych nie osiągamy nawet tego rezultatu, nie jesteśmy z powodu maszyny ani odrobinę bogatsi, używamy jej tylko dla naszej zabawki. Bo zważcie, że wasz zysk w bogactwie zależy od ludzi, nie mających zatrudnienia i godzących się na śmierć głodową, lub na emigrację.

Ale przypuśćmy, że nie zgodzą się biernie na śmierć głodową, lecz niektórzy z nich staną się zbrodniarzami i trzeba się nimi zaopiekować, oraz karmić ich za większe pieniądze, niż gdyby im dano pracę, a inni, biedacy, będą niespokojnego ducha i tak dalej—oto rzetelny wynik współczesnej mądrości i pomysłowości. Stu ludzi było uczciwie zajętych pracą na rok; ale nie podobał się wam widok istot ludzkich na waszem polu; wolicie raczej widzieć dymiący kocioł. Jako amatorowie, płacicie za tę przyjemność, a pięćdziesięciu ludziom pozwalacie zajmować się żebraniem, rozruchami i kradzieżą.

To też ziemię winniśmy uprawiać jedynie i wyłącznie pracą ręczną. Pracą ręczną zarówno pracować na oceanu; zarówno dla pożywienia, jak handlu, albo wojny; unikajmy i tam pływających kociolków, lecz używajmy konopnej uździenicy i zaprzęgu z wiatrów.

Oto sposób, w jaki wzrosła potęga Wenecyi na Adryatyku, potęga Analfi w jej błękitnej zatoce, potęga żeglarzy normandzkich od Przylądka Północnego do Sycylii, tak też wzrosło w przeszłości wasze własne dziedzictwo.

Uważajcie, w przeszłości. Na Bałtyku i na Nilu władza wasza już zniknęła. Maszynami zdążacie do czynienia odkryć; maszynami prowadzicie swój handel; staniecie się inżynierami, a nie żeglarzami; na morzu Północnem pokonywają was lody, na Nilu zaś w oczach bogów biją was piaski. Więc rolnictwo tylko przy pomocy ręki albo pługa, ciągniętego przez zwierzęta i pasterstwo winno stać się główną szkołą Anglików, a tę najbardziej królewską ze wszystkich akademij, macie otworzyć nad całym krajem, oczyszczając wasze wzgórza i wody, napełniając je wszelkimi gatunkami przyrodzonych organizmów, drzew, ziół i zwierząt.

Cały grunt, pusty lub szpetny, winniście znów uczynić żyznym; musicie usunąć zrujnowane i opuszczone siedziby ludzkie; a w żadnej wsi i w żadnem mieście waszych angielskich posiadłości nie powinno być ani jednej dłoni, któraby nie znalazła pomocy, ani jednego serca, któreby nie znalazło pocieszyciela.

— Jakież to wszystko niemożliwe! — myślicie

sobie zapewne. — Ah! Tak dalekie od niemożliwości, tak łatwe, tak naturalne, tak konieczne i, powiadam wam, że prędzej, czy później musi być wykonane. Jeżeli obecnie angielscy landlordowie ustalą w sobie to pojęcie, jeżeli wezmą swój lud do serca, zaufają jego lojalności i pokierują jego pracą, wtedy zaiste powstaną wśród nas znów książęta godni tronu naszej wyspy:

„Tego królewskiego tronu monarchów — tej złotej wyspy.

„Tej warówni wzniesionej przez naturę sobie samej. Przeciwno zarazie i pożodze wojny.

„Tego cennego kamienia, oprawionego w srebrnym morzu.

„Tej szczęśliwej rasy ludzkiej, tego małego świata.

„Tego drugiego Edenu, tego pół-raju.”

Ale jeżeli nie zechcą tego uczynić, jeżeli będą się wahali i zachowywali dwuznacznie, chwytając w strasznej katastrofie to tylko, co mogą jeszcze ukradkiem zachować dla samych siebie — to los ich bliższym jest, niż przypuszczają przeciwnicy, i smutniejszym od ich snów najśmielszych.

Oto, wierzajcie mi, praca, którą macie w Anglii wykonać; po za Anglią jest dosyć miejsca na wasze zachcianki. Czyż jej włości światowe tak są małe, że niema gdzie prąść bawelny, tylko w Yorkshire?

Wszak możemy organizować emigrację w nieskończoność. Możemy tworzyć wojska z naszej awanturniczej i ambitnej młodzieży; możemy zaciągnąć ją do służby po za granicami ojczyzny, zakładając no-

we siedliska władzy i ogniska myśli w nieuprawnych i niezajętych krajach; zachowując przytem pełny afekt dla kraju rodzinnego, niemniej wśród kolonistów, jak w bitwie; pomagając im szczodłą dłońią w czynieniu odkryć i w pokonywaniu wrogich im sił natury; zakładając siedliska wszelkich gałęzi manufaktury w klimatach i miejscowościach, najwięcej potemu się nadających; wreszcie doprowadzając siebie do harmonii z wrodzonymi zdolnościami każdej rasy, ze skarbami każdej tradycyi i każdej mowy.

A wtedy uczynicie Anglię ogniskiem nauk, sztuk i szczęśliwości świata. Pokryjecie jej góry pastwiskami, płaszczyny zbożem, doliny liliami, ogrody różami. Sprowadzicie ze sobą razem w pokoju mądrych, czystych i szlachetnych tej ziemi, a przy pomocy ich słowa wywołacie w największej ciemności narodziny „Pierwszego tworu Boskiego, jakim było światło.”

Wiecie czyje to słowa; słowa najmędrszego z Anglików. On, a z nim najmędrsi wszystkich wielkich narodów, mówili ludziom zawsze w tej nadziei, ale oni ich nie słuchali.

Plato, w dyalogu Critiasa, ostatnim, niedokończonym wskutek śmierci — Pindar, w miłosnem opiewaniu szczęśliwych wysp — Wergil w prorockiej dziesiątej eklodze — Bakon, w swej bajce o nowej Atlantycie — More, w książce, która jako zanadto mądra, stała się przysłowiem głupców. Wszyscy oni wskazywali nam jednostajnie do osiągnięcia czego mamy dążyć; wskutek naszej głupoty niebiosa zniewoliły ich powiedzieć nam to jeno częściowo i parabolicznie, abyśmy im byli posłuszni.

Czyż nigdy nie posłuchamy słów tych mędrszych ludzi? Słuchajmy więc przynajmniej słów naszych dzieci — poszukajmy dla siebie siły w ustach naszych niemowląt i strzeżmy się, abyśmy ich nie zniewalali do szyderstwa, zamiast modlitwy, ucząc je co rano i wieczór prosić o to, co według naszej wiary nigdy nie będzie dane; to jest, ażeby wola Ojca, który chce, aby stworzenia Jego były sprawiedliwe i szczęśliwe — spełniała się jako w niebie tak i na ziemi.

K O N I E C.

TREŚĆ.

Przedmowa 5

Pierwszy odczyt.

Praca 21

Drugi odczyt.

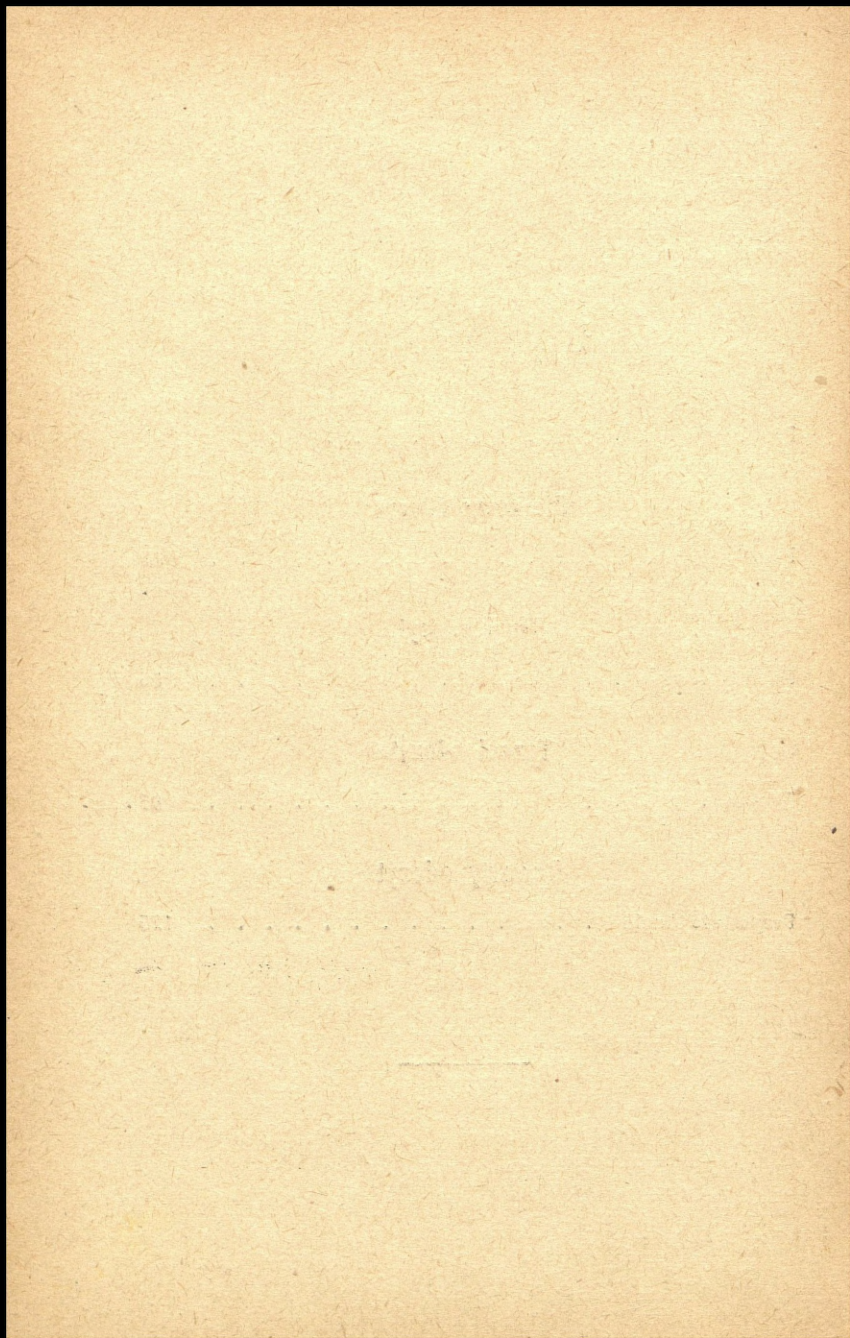
Handel 55

Trzeci odczyt.

Wojna 85

Czwarty odczyt.

Przyszłość Anglii 125



OD REDAKCYI.

P. W. Cz. w Białej Cerkwi. Dalsze tomy Chmielowskiego otrzyma Sz. P. bez dopłaty, podobnie, jak wszyscy stali prenumeratorzy.

P. Ewelinie K. Powieść Rodziewiczówny „Kądziel“ wyszła świeżo w drugim wydaniu u Gebethnera (rub. 1 kop. 20), nie byłoby więc celu przedrukowywać ją obecnie.

P. Ig. L. Za słowa uznania dla „Tyary i Korony“ dziękujemy. Co do innych kwestyj, odpowiedzieliśmy już w numerze 121.

P. Z. S. Jedno z dzieł Ruskina wydajemy w tomie niniejszym. Dotychczas wyszły tylko urywki, w przekładzie A. Langego, oraz przekład dzieła Sizeranne'a o Ruskinie, dokonany przez Antoniego Potockiego.

P. A. Ch. Trzebaby napisać traktat, ażeby się porozumieć, a i to wątpliwe, czybyśmy doszli do porozumienia, bo zwykle „pewniki“ dotyczące pisowni, uważane są za bardziej niezbite, niż wiele innych naprawdę naukowych. Zresztą, przyznajemy się, że nie przywiązujemy do tych kwestyj zbyt wielkiej wagi. „Puhar“ i „wahać się“ przez *ch*, oczywiście omyłki zecerskie.

P. J. P. ze Żmujdzi. Administracya wysłała Nr. 118 w sprawie. Zapewne Sz. P. już otrzymał. Za pochwały uprzejmie dziękujemy, a dalsze uwagi podzielamy. Przyjemnie jest

pracować, chociażby w trudnych warunkach, gdy praca jest oceniana.

P. A. M. „Rozbitka“ znaleźliśmy. Wiele jest takich, którzy, jak Sz. P., domagają się jednej z mniej znanych powieści Kaczkowskiego, ale na razie mamy rzeczy pilniejsze.

Zbyszkwowi. Za dopłatą 2 rubli, tylko przed końcem bieżącego kwartału. Autorem „Naszych błędów“ jest Walicki, ale książka zupełnie wyczerpana. L. Szczerbowicza Wieczora „O skażeniu języka polskiego“ kosztuje (cena zniżona) 50 k.

P. M. R. w Bohdaniszkach. Istnieje nowe i niedrogie wydanie „Chaty wuja Toma“ panj Becher-Stowe, nie byłoby więc celu przedrukowywać. Kosztuje bez oprawy 80 k., kart. rub. 1, w płótnie rub. 1 k. 20.

P. F. A. K. w Przemyślu. Dawalibyśmy chętnie większe powieści pisarzy młodszych, gdyby nie to, że młodzi pisarze większych powieści nie pisują. Nieco starszych przygotowujemy. „Dewajtis“ Rodziewiczówny będzie wydany. Po ukończeniu Chmielowskiego, będziemy zawsze dawali jakieś większe dzieła, w powiększonym formacie, jako względne premia. Postaramy się zasłużyć na zaszczytne dla nas słowa uznania. Dziś jeszcze naszego wydawnictwa nie uważamy za „doskonałe i bez zarzutu,“ nie mniej jednak dziękujemy za życzliwość.

P. J. Ort. w Poniewierzu. „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza w przekładzie niemieckim kosztuje 3 rub. Dalszy ciąg trylogii nietłómaczony. Jest tylko „Bez dogmatu“ (2 rub. 50 k.) i „Quo Vadis“ (3 rub. w oprawie z ilustracjami). Można sprowadzić z księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie.

Dr. J. K. w Wieliczce. W ostatnich dwóch kwartałach stosunek będzie inny; wypadnie w kw. IV 1899 r. 7 tomów poważniejszych na 6 powieści, a w kw. I 1900 r. 6 poważniejszych i 7 powieści — a więc jest równowaga. Inne życzenia pańskie będziemy mieli na pamięci. Całkiem powieści usuwać nie możemy — zresztą wszak Sz. P. na dobór ostatnich nie narzeka. Po skończeniu Chmielowskiego zawsze dawać będziemy jakieś większe dzieła wartościowe.

P. S. M. z Ukrainy. Za tak serdeczne słowa uznania również serdecznie dziękujemy.

P. X. z Podola. Sz. P. stroi sobie żarty z naszego rachunku. Przyjemnie nam, że mamy wesołych prenumeratorów, ale wolelibyśmy, żeby umieli łączyć wesołość ze ścisłością. Sz. P. radzi nam wziąć tasiemkę, podzielić ją na 1900 równych części, i tym sposobem przekonać się, ile lat upłynęło od Nar. Chr. Sz. P. nie zastanowił się nad tem, że liczba podziałek na tasiemce, da tylko liczbę podziałek—nic więcej; i że nie o to chodzi, ile lat upłynęło od Nar. Chr., gdyż to wiemy i bez tasiemki, lecz o to, od kiedy należy rozpoczynać rachubę nowego wieku, a na to znów sama tasiemka nie wystarczy; trzeba jeszcze zastanowić się nad kwestyą. To jedno. Powtóre, pocóż aż 1900 podziałek, kiedy można ten sam rachunek przeprowadzić na 19, a nawet na 10 podziałkach?

Podziałka sama nic jeszcze nie uczy; pouczyć nas może dopiero *sposób numeracyi*, a ten może być rozmaity, i w zastosowaniu do kwestyi początku wieku, albo racjonalny, albo nieracjonalny.

Tasiemkę, podzieloną na równe części, możemy ponumerować albo:

1	2	3	4	
				etc.

Albo:

0	1	2	3	
				etc.

Albo:

—	∞	∞	
			etc.

Wszystkie te podziałki oznaczają lata, ale w pierwszej jedynką oznaczona jest granica początkowa 1-go roku, w drugiej granica końcowa 1-go roku, w trzeciej rozległość 1-go roku.

Jakiej dacie odpowiadać będzie kreska 1-a?

w. XIX — innemi słowy, że w dniu tym, w którym Sz. P. chce rozpocząć wiek XIX, *skończył się dopiero wiek XVIII*

Czy słusznie? Oczywiście nie. A dlaczego? Bośmy pomieszali lata i wieki. Z tego, że wiek pierwszy rozpoczyna się 1 stycznia 1 roku, nie wynika bynajmniej, że wiek XIX będzie się rozpoczynał 1 stycznia 1900 r. Bo jeśli kreska 1 ma oznaczać wiek I, kreska 2 — II i t. p., a 19—XIX, to przy kresce 2 będziemy mieli datę nie 1 stycznia roku 200, lecz 1 stycznia 201 roku; w przeciwnym bowiem razie wiek I miałby tylko 99 lat, a temsamem i kreska 19 nie może oznaczać 1 stycznia 1900 r., lecz 1 stycznia 1901.

Inny błąd popełnilibyśmy, gdybyśmy rozumowali tak:

Kreska pierwsza oznacza początek pierwszego wieku. Kreska druga będzie wyrażała początek wieku II, trzecia — III... dwudziesta—XX. A ponieważ pierwszej kresce odpowiada data 1 stycznia 1 roku, przeto drugiej odpowiadać będzie data 1 stycznia 100 roku, trzeciej 1 stycznia 200, dwudziestej 1 stycznia 1900 roku, czyli, że wiek XX już się rozpoczął. Czy tak? Przypuszczamy, że takim było rozumowanie Sz. P. przy oglądaniu tasiemki. Otóż rozumowanie to jest błędne, ponieważ druga kreska wcale nie odpowiada dacie 1 stycznia 100 roku, lecz 101 roku. Chcąc to sprawdzić, nie potrzeba na tasiemce znaczyć aż 1,900 podziałek, wystarczy 100, a wtedy łatwo będzie przekonać się, że przestrzeń setnej podziałki kończy się dopiero na dacie 1 stycznia 101 r.

Z powyższego wypadu, że przez samo dzielenie tasiemki można dojść do trzech różnych wniosków: 1^o, że jeszcze się nie zaczął wiek XIX; 2^o, że już się skończył w. XIX; 3^o, że jeszcze się nie skończył w. XIX — ale przy dostatecznej rozwadze, zawsze tylko ten ostatni wniosek okaże się ścisłym.

Może obecnie Sz. P. nam przyzna, że oprócz tasiemki, trzeba jeszcze... zastanowienia.

P. E. Sz. w Szawlach. A któżby lekceważył Litwę Litwę, której zawdzięczamy tylu dzielnych i zasłużonych ludzi. Sz. P. twierdzi, że „nie daliśmy dotychczas ani jednego dziełka, dotyczącego historii lub etnografii Litwy.“ Tak źle nie jest, bo wszakże powieść historyczna „Pojata“ i rozprawa Chmielowskie-

go „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi“ do tej kategorii należą, a i w innych kilku książkach znajdują się ustępy, dotyczące Litwy. Nie mniej jednak uwagę pańską wzięliśmy do serca.

Ks. K. O. I „Zapiski“ Dostojewskiego, i „Sybir i katorga“ Maksimowa, znajdują się w handlu księgarskim w polskim przekładzie; ta ostatnia książka wyszła nawet świeżo w nowym wydaniu „Prawdy“ (2 t. kosztują 2 rub. 40 k.), narażalibyśmy więc na stratę tamtych wydawców, gdybyśmy dali nowe tłumaczenie, tańsze. Wogóle staramy się przedrukowywać tylko dzieła wyczerpane.

P. M. A. S. Biblia Wójka, z tekstem polskim i łacińskim, kosztuje 10 rubli. Popularne wydanie „Hist. Star. i Now. Test.“ w dwóch dużych tomach, nakładem Miarki, tylko po polsku 7 rubli. Co do nauki o dogmatach katolickich, to wyszła świeżo „Dogmatyka ogólna i szczegółowa“ w 2-ch tomach, kosztuje 3.60. Sprowadzić można przez którąkolwiek księgarnię. Wcale nie gniewamy się za utrudzenie w tego rodzaju informacjach i chętnie służymy nimi wszystkim naszym czytelnikom.

P. K. W. Marczewie. Poezye K. Ujejskiego wyszły w r. z. u Brockhousa. Są do nabycia w każdej księgarni w Warszawie i kosztują rub. 1 k. 20.—Ukończenie kursów buchalteryjnych p. H. Chankowskiego nie daje prerogatyw w stosunku do posad rządowych. Bliższych szczegółów udzieli zakład, mieszczący się w Warszawie przy ulicy Nowogrodzkiej 36.

P. F. M. w Wilnie. Książkę zbiorową kasy literackiej „Sami sobie“ możemy kazać wystać za zaliczką; kosztuje rub. 1 kop. 50.

P. L. Al. cukrownikowi z Lengerhausen. Dziękujemy za sprostowanie. Rzeczywiście, tłumacz omylił się. W „Chemii życia codziennego“ t. I, str. 89, zamiast „saturatory, powinno być „dyfuzory.“ Był to prosty *lapsus calami*, ponieważ w oryginale znajduje się wyraz „Diffusionsbatterie.“

P. Tad. K. „Olbrachtowych rycerzy“ mamy na pamięci, ale nie znaleźliśmy jeszcze egzemplarza.

Dr. J. K. w Wieliczce. Wyszukamy wskazane pamiętniki i jeśli się okażą odpowiednie, postaramy się wydrukować.

P. A. J. Niech nam Sz. P. wierzy, że niema takiej powieści, z wydanych przez nas, o której nie otrzymywalibyśmy listów, z jednej strony z wielkim uznaniem, z drugiej z wielkim potępieniem. Sz. P. należy do umiarkowanych w sądach, a jednak pisze Pan: „tendencya niewłaściwa, a więc powieść zła.“ Czyż podobna sądzić utwór artystyczny jedynie na podstawie jego tendencji? A powtóre, czy naprawdę powiastka Reymonta jest utworem tendencyjnym? Nam się zdaje, że autorowi nawet przez myśl nie przeszło, że go z tej strony sędzić będą. Nie rozumiemy również, dlaczego „Straszny dziadunio“ ma być złą powieścią. Życzeniu pańskiemu, żeby większość czytelników sądziła o wartości utworów, stanie się zadość przy publikacji prac konkursowych w kw. IV.

P. B. Cz. „Rozbitka“ już mamy.

P. W. G. w Ujazdowie. Uprzejmie dziękujemy. „Sad i ogród“ Jankowskiego wystaliśmy

Prenumeratorce z Włocławka. Sz. Pani jest pierwszą i zapewne ostatnią osobą, niezadowoloną z „Chemii życia codziennego.“ Cieszy nas tak bardzo odosobniony protest, dowodzi on bowiem, że społeczeństwo nasze zaczyna myśleć. Sz. P. twierdzi, że „Biblioteka“ jest do „odpoczynku,“ i że powinna zamieszczać tylko beletrystykę. Otóż tak nie jest. „Biblioteka“ służy do rozrywki i do łatwej nauki. Nie dajemy takich dzieł, którychby średnio wykształcona kobieta czytać nie mogła — ale też gdyby „Biblioteka“ miała dawać same powieści, to przedewszystkiem musiałaby zmienić redakcyę, bo mybyśmy do pustej straty czasu, za pieniądze czytelników, ręki nie przykładali.

P. Zachodowi. Sz. P. twierdzi znów, że za mało dajemy rzeczy naukowych. Ale na to rady niema; nie możemy dawać więcej. Przyczyna zaś jest prosta. W społeczeństwie naszym, pomimo niewątpliwych postępów, nie ma nawet kilku tysięcy osób, któreby chciały wydatkiem 10 rubli rocznie podtrzymywać stale jakiegokolwiek wydawnictwo naukowe. „Biblioteka“ zaś jest, w stosunku do tego, co daje, pismem tak tanim, że potrzebuje przynajmniej około 10,000 prenumeratorów, żeby mogła się utrzy-

mać, przy tej wysokości wydatków, które są niezbędne dla zapewnienia jej wartości. Mając ciągłe czucie z prenumeratorami, staramy się przemycać książki poważniejsze obok lżejszych, w ten sposób, żeby nie zrazić umysłów, do poważniejszej lektury nieprzywykłych. Oto wszystko. Dając zaś więcej dzieł naukowych, „Biblioteka“ musiałaby się zamienić na wydawnictwo filantropijne, co nie byłoby ani możliwem, ani nawet odpowiedniem. — Podręcznik kucharski Ćwierczakiewiczowej „Obiady“ (2 rub.), „Przepisy“ (1 rub. 80 k.), a także innego autora „Kucharz warszawski“ (1 rub. 20 k.).

— Dzieła „o walcownictwie“ w języku polskim nie ma.

P. Z. R. Co do systemu dziesiętnego w układzie bibliotek, zasięgniemy informacji za granicą, gdyż jakkolwiek znamy go ogólnikowo, ale bliższych szczegółów u nas dowiedzieć się nie można, broszur odnośnych nie ma w naszych księgarniach.

P. T. Ch. O życzeniu Sz. Pana będziemy pamiętali.

P. R. Tr. Utwory Grabowskiego i Satyrmera a antykwaryuszów. — Spis rzeczy ogólny dołączony będzie razem w ostatnim tomie, co ułatwi szukanie.

P. J. N. Adres pana Bonieckiego, wydawcy „Herbarza:“ Nowy Świat, 53.

W przyszłym tygodniu rozpoczynającym kwartał II wydamy „Humoreski“ Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika), a następnie niedrukowaną dotychczas oddzielnie powieść Waleryi Marrené Morzkowskiej p. t. „Błądne koła” z przedmową T. J. Chońskiego.





19092 /
1